

# W kraju palm i słońca



ARTUR GRUSZECKI

## W kraju palm i słońca

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

### EMIGRANCI

W Bremie, na dworcu kolei żelaznej, wielkim, obszernym, pokrytym dachem szklanym, przepuszczającym mdłe światło, ścisk, gwar, hałas, jęśliwe wołania podróżnych z czwartej klasy, ostre, rozkazujące głosy żandarmów w połyskujących hełmach i gorączkowa biegająca służba kolejowej.

To nadejście pociągu z emigrantami do Ameryki.

Ruchem ręki, głosem nieznośnym sprzeciwiania się wskazuje emigrantom służba kolejowa i żandarmi schody przeznaczone do wyjścia.

Z wielkimi tobołami, z kuferkami jaskrawymi, z rzeczami owiniętymi w brudne płachty suną emigranci.

Już w Ruheleben, stacji za Berlinem, gdzie koleje, gromadząc wszystkich emigrantów, poddają dezynfekcji ich i ich rzeczy, sadowią się emigranci w wagonach podług ojczystych okolic i kupą trzymają się też w Bremie. Idą z niemiecka ubrani Ślązacy, prawie wszyscy młodzi, dzielni, zdrowi, wszyscy do Stanów Zjednoczonych; pomiędzy nimi trochę kobiet w spódnicach krótkich, jaskrawych, suto fałdowanych. Następnie postępują ociężałe Niemcy znad Wołgi, z Besarabii, z guberni charkowskiej, w charakterystycznych rosyjskich strojach, a choć mówią po niemiecku, nazywają siebie: „*die Russen*”<sup>1</sup> — ta partia jedzie do Argentyny. Patrząc podejrzliwie na wszystkie strony, ostrożnie stąpają Słowacy w strojach narodowych; potem garść Żydów z Cesarstwa<sup>2</sup>, z licznym, wrzaskliwym potomstwem; wreszcie z ociąganiem, trwogą i niepokojem postępują chłopci z Galicji<sup>3</sup> i Królestwa<sup>4</sup>.

Co chwila z tłumu wyrywa się nawoływanie matki, zrzędzący głos ojca, płacz dziecka; a wszyscy zmęczeni, niewyspani, brudni, z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi gorączkowo oczyma, wypatrują upragnionej Bremy.

W sali IV klasy szeregują i liczą rodziny emigrantów, i bez pytania, objaśnienia, często wbrew woli, narzuca się emigrantom hotel, do którego muszą zjechać, opłacając życie i mieszkanie. Lwią część emigrantów zabiera pan Missler, jeden z dzisiejszych potentatów bremeńskich, agent Towarzystwa „*Norddeutscher Lloyd*”<sup>5</sup>, posiadający wyłączny przywilej bałamucenia, ściągania i wyzyskiwania emigrantów z Austrii, Węgier i Rosji.

— Nasze pakunki!

— Nasze kufry! — wołają emigranci.

— Znajdą się w porządku! — odpowiada łamaną polszczyzną wysłannik p. Misslera i wspomagany przez żandarmów wyprowadza część swego łupu na plac przed dworcem.

<sup>1</sup>*die Russen* (niem.) — Rosjanie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Cesarstwo* — tu: zapewne Cesarstwo Niemieckie, państwo powstałe w wyniku zjednoczenia Niemiec dokonanego w latach 1866–1871 przez Prusy pod rządami Ottona von Bismarcka, albo też Cesarstwo Austrii, jedna z dwóch składowych Austro-Węgier. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Galicja* — ziemie dawnej Rzeczypospolitej pozostające w latach 1772–1918 pod zaborem austriackim. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Królestwo* — tu: Królestwo Polskie a. Królestwo Kongresowe (pot. Kongresówka), utworzone na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego z terenów dawnej Rzeczypospolitej pod zaborem rosyjskim, istniejące w latach 1815–1918. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Norddeutscher Lloyd* — dawne niemieckie oceaniczne przedsiębiorstwo żeglugowe z siedzibą w Bremie, zał. w 1857, zlikwidowane w 1970. [przypis edytorski]

Dzień chmurny, dżdżysty, późnej jesieni, wilgoć przenika wszystko, osiada na zmiętych ubraniach, na zrudziałych butach, dzwoni w rynnach dachów, rozlewa się w kałużach po bruku. Na placu nowy podział emigrantów: porządniej ubranych przeznaczają do hotelów położonych w mieście, uboższych do hotelu zwanego „Warszawa”. Na wozy wrzucają kufry, emigranci idą pieszo.

Dziwnie i smutno odbijają ci ludzie na tle bremeńskich ulic, czystych, ładnych, i kamienic z lustrzanymi szybami, z białymi firankami, z kwiatami w oknach. Idą z tłumokami, tobołami, brudni, pomięci, jaskrawo ubrani, nagleni przez przewodnika. Bremeńczycy, jakkolwiek przyzwyczajeni, przystają, patrzą jak na dziwowisko i wydymając usta wzgardliwie, szepcą:

— *Emigranten!... Polen!...*

Nareszcie docierają do hotelów. Są to domy wysokie, w których każde miejsce jest zużytkowane, byle przynosiło dochód właścicielowi, bez względu na niebezpieczeństwo i jaką taką wygodę podróżnych. Poczawszy od poddasza zaczynają się dość obszerne sale, przepełnione łózkami, jak to bywa w czasie katastrofy; są to pokoje noclegowe, osobne dla mężczyzn, osobne dla kobiet. Na pierwszym piętrze sala jadalna, zarazem poczekalnia, kancelaria i szynk. Jeszcze gorszy tłok, brud i niewygoda w hotelu zwanym dla wabika „Warszawą”.

Za tego rodzaju umieszczenie i lichą żywność płaci jednostka po dwie marki (1 rub.) dziennie. Łatwo obliczyć, ile traci rodzina, np. z pięciu osób złożona, gdy musi czekać dni kilka na odejście statku, a już w tym głowa agentów p. Misslera, by przyspieszyć wyjazd emigrantów z kraju w niezawodne objęcia patrona.

Wokoło hotelów emigranckich snują się poczciwcy, ułatwiający emigrantom nabycie „amerykańskich” kapeluszy... butów... ubrań... i innych rzeczy, bez których nie przyjmą w Ameryce, kto wie czy nawet na okręt. Wreszcie zamerykanizowani emigranci idą do biura p. Misslera, by wymienić prowizoryczne karty okrętowe<sup>6</sup>, dowiedzieć się bliższych szczegółów o okręcie, zmienić swoją gotówkę na amerykańskie pieniądze, pan Missler bowiem stara się o wszechstronną wygodę swych ofiar w hotelach i biurach, zajmujących cały parter własnego domu, w których pracuje sztab przeróżnych urzędników.

Emigranci wchodzą do obszernej sali, a tuż za barierą zjawiają się urzędnicy, mówiący po polsku i małorusku<sup>7</sup>, i z miną dobrodusznym poczciwców zadają pytania emigrantom:

— A skąd wy?... Czy nikt nie wybiera się do Ameryki z tej wsi lub okolicy?... A jak mu na imię? A poczta? Wójt jak się nazywa?... — i wszystko przy dalszym stoliku notuje inny skwapliwie, bo takie adresy to grosz gotowy dla agenta: już jego biuro wysłać czułe listy o Ameryce, o rajskiej tam szczęśliwości, o nadzwyczajnych wygodach podróży, gdzie do woli rozdają wino do wspaniałych obiadów, mleko świeże trzy razy dziennie roznosi dzieciom służąca, doktor jest na zawołanie, służba czeka skinienia emigrujących.

Jednak należy być sprawiedliwym: to samo robią i inni agenci „Lloydu Bremeńskiego”... gdyż handel musi iść; a że chłopci są ciemni, głupi, wierzą cudacznym listom i łatwo dają się oszukiwać, czyż to wina agentów?

W obszernej, niskiej brudnej sali hotelu „Warszawa” — tłok, gwar; pozytywa<sup>8</sup> wielka wygrywa piskliwie różne melodie, w rogu za ladą bufetową rzędy ponętnych butelek, beczki piwa i niewyszukane przekąski. W jednym rogu, unikając drwin, skupili się Żydzi, płacący tylko za nocleg po 60 fenigów<sup>9</sup> od osoby; w drugim tłoczą się chłopki z dziećmi na rękę, przy spódnicy, fartuszkę, siedzą a wzdychają, uspokajając maleństwa.

W środku wielkiej tej izby gwarno, wesoło; co chwila idą gromadką do bufetu i żądają wódki, piwa — wszyscy uradowani, weseli; na ustach tylko Ameryka, złoto, bogactwo, życie bez troski, mnóstwo pieniędzy i dostatków!

— Macie, matko, kłopot z dziećmi...

Spojrzała trochę zdziwiona, zmęczonymi, niebieskimi oczyma, poprawiła jaskrawą chustkę i uspokoiwszy czworo drobnych dzieci, odpowiada:

Emigrant, Chłop, Matka,  
Żona

<sup>6</sup>karta okrętowa (daw.) — bilet na podróż statkiem. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>małoruski — dotyczący Małorusi (hist.); dziś: ukraiński. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>pozytywa (daw.) — urządzenie mechaniczne, odtwarzające muzykę zapisaną na specjalnych dziurkowanych kartach, które sterują piszczałkami. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>fenig — dawna drobna moneta w krajach niemieckojęzycznych; od 1873 fenig stanowił 1/100 marki niemieckiej, do czasu zastąpienia marki przez euro (2001). [przypis edytorski]

— Ano, zachciało się memu, to i co robić?... Dzieci nie zostawię, jakoś dojedziemy...  
— I kto was namówił do wyjazdu?  
— A któż by? Nikt, ot przyszło pismo do wsi, trafiła się książka... a u nas źle, Żyd gniecie, pan nie pomoże, bo sam ma niewiele, to i wybraliśmy się.  
— Dokądże jedziecie?  
— A gdzieżby? Do Ameryki.  
— Do której? Północnej czy do Brazylii?  
— Alboż ja wiem? Agent dał bilet; może mój wie, ja nie wiem.

W przeważającej liczbie chłop, zwłaszcza z Galicji Wschodniej, nie wie, dokąd jedzie i powtarza uparczywie: do Ameryki. Miałem w ręku list pisany z Argentyny, kolonia Missionas, w którym po zwyczajowym początku pisze kolonista, że: „Chwała Bogu, tu w Kanadzie jest nieźle, jeść jest co, tylko o pieniądze trudno...”, a kończy podaniem adresu: „Ameryka, Kanada, kolonia Missionas”.

— Co pan tam będzie gadał z babami! — woła niski, przysadkowaty Mazur<sup>10</sup>. — Chodź pan do nas!

— Pan też do Ameryki?... Za chlebem?... Panu to ta<sup>11</sup> ciężko będzie, bo tam chcą ino<sup>12</sup> chłopów; tam nie ma pana ani Żyda, ani podatków, tam kończy się wasze panowanie...

Głośny śmiech zadowolenia, radości i złotej nadziei rozlega się wśród podnieconych emigrantów.

— Na pohybel panom i Żydom! — woła chłop, wznosząc w górę kieliszek wódki.

— Cichajta!<sup>13</sup> — miarkuje go Mazur. — Toż i ten pan jedzie za chlebem, bo mu tu ciężko.

Jaki taki wzdycha i podnosi się gwar skarg na biedę, nędzę, złą dolę. Urojone i prawdziwe krzywdy płyną falą skargi i żalu. Na tęsknotę do kraju, którego macosze traktowanie mają żywo w pamięci, jeszcze za wcześniej; przeciwnie, radość i rozczulenie wzmagają się podniecane kieliszkiem.

Z tłumu wysunął się emigrant w spencerze<sup>14</sup> i biorąc kufel piwa, zawołał gromko:

— Zaś<sup>15</sup> hoch<sup>16</sup> Ameryka! Wiwat! — i przy dźwiękach katarynki sunąc do bufetu, krzyknęto radośnie:

— Wiwat Ameryka!!

## W DRODZE

Wyjeżdżamy z Bremerhaven<sup>17</sup> na pełne morze. Po niebie przewalają się szare i ciemne chmury, pędzone wiatrem zachodnio-północnym, który kiedy niekiedy siecze zimnym, jesiennym deszczem. Wielkie fale uderzają o siebie z głuchym łoskotem, wyrzucając białą pianę. Okręt, niedostatecznie wyladowany, zaczyna tańcować, a wśród szumu morza, poświstu wiatru, nieustannego huku fal, warczenia maszyny parowej rozlega się gwizdawka oficera i marynarze, ślaniając się na wszystkie strony, śpieszą po rozkazy. Na pokładzie pusto, ciemno; czasem bryźnie fala, okręt się zakolysze, wiatr z deszczem zagra na wyciągniętych linach masztu i znów szum, zajadłe uderzenia o okręt i huczące zapasy z nawrotami fal. Służbisty steward<sup>18</sup>, chociaż pasażerowie siedzą po kajutach, dzwoni zawzięcie znak podawania obiadu, który zaczyna się milczeniem, a z jadących parowcem siedzi przy stole sześciu gości. Kapitan niski, krępy kręci szpakowatą brodę, patrzy po pustych krzesłach i mówi z głośnym śmiechem:

— Dopiero siedem, a już chorzy; co będzie dalej?

<sup>10</sup>Mazurzy — mieszkańcy Mazowsza lub Mazur, regionu w pln.-wsch. Polsce, zasiedlonego w XIV–XVII w. przez polskich osadników z Mazowsza; dawniej także: potomkowie osadników z Mazowsza mieszkający w Małopolsce nad Sanem, a także na Podlasiu i Wołyniu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>ta (gw.) — tam. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>cichajta (gw.) — bądźcie cicho. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>spencer (daw.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>zaś (gw.) — tu w znaczeniu: więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>hoch (niem.) — tu: niech żyje. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>Bremerhaven (niem.: port Bremy) — miasto portowe w Niemczech, u ujścia Wezery do M. Północnego; założone w 1827 jako nowy port morski Bremy, stanowiło jeden z głównych portów emigracyjnych w Europie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>steward — pracownik obsługujący pasażerów na pokładzie statku. [przypis edytorski]

Emigrant, Chłop, List

Emigrant, Chłop, Żyd, Pan,  
Władza

Okręt, Morze, Deszcz,  
Wiatr

W odpowiedzi śmieją się z tego dowcipu, jak przystało na podwładnych, starszy mechanik okrętowy i doktor, elegancki, ładnie ubrany blondyn.

— Co znaczy siedem? — pyta mały, poważny Niemiec, nauczyciel z San Paulo w Brazylii.

— Siedem! — śmieje się wesoło kapitan. — To cyfra<sup>19</sup>, potem idzie osiem... dziewięć...

— Następuje — dodaje mały profesor — dziesięć, jedenaście, dwanaście, trzy...

— Dosyć! — przerywa mechanik. — Przekroczyliśmy granicę.

Po chwili dowiadujemy się, że w czasach, gdy żaglowce panowały na morzu, istniało obliczenie siły wiatru w cyfrach, zastosowanych do stopniowego usuwania żagli. Cyfra siedem oznacza wiatr „twardy”, osiem „burzliwie”, dziewięć „burza”, dziesięć „mocna burza”, jedenaście „twarda burza”, dwanaście „orkan” i zwiija się wszystkie żagle.

Nad ranem wiatr silniejszy, morze, jak okiem sięgnąć, bałwani się, tryskając białą pianą przesłaniającą widnokrąg; chwilami zdaje się, że gdzieś tam na nieboskłonie bieleje wielkie miasto, które, zaledwie dojrzane, znika sprzed oczu. Płyniemy głębokim wąwozem i tuż, tuż ruchome ściany mają nas nakryć, gdy okręt gwałtownym ruchem wspina się na grzbiet nadbiegającego bałwana, jakąś chwilę kołysze się, wpada w głąb dziobem, a śruba okrętowa huczy ze zgrzytem i świstem w powietrzu.

— Panie, ile mamy? — pyta oficera podróży zaniepokojony.

— Osiem, a może będzie dziewięć — odpowiada, śpiesząc dalej.

Osiem trwa, okręt pod naporem rozchukanych fal jęczy, piszczy, trzeszczy, wyczuwa się uginanie wiązań, jakieś głuche trzaski w głębi okrętu, który to kładzie się bokiem, to wspina się w górę lub pada w głąb. W sali jadalnej dźwięczą szklanki i talerze, a przy drugim śniadaniu mimo przegródek i linii na stole przewracają się butelki i szklanki, zsuwają się talerze, ku rozweseleniu siedzących. Rozmowa pod wpływem burzliwej pogody obraca się tylko około wypadków nieszczęśliwych w czasie burz morskich. Kapitan razem z mechanikiem i starszym oficerem przesadzają<sup>20</sup> się w opisach przygód na różnych morzach pod różnymi strefami. Tam złamany maszt pogruchotał ludzi, ówdzie pęknięcie śruby zabiło maszynistę i przedziurawiło okręt lub nabiegły bałwan zmiotł ludzi i rzeczy z pokładu; a prawdopodobnie nie przez złośliwość, lecz z poczucia obowiązku służbowego zapytuje kapitan:

— Czytaliście, panowie, przepisy ratunkowe? — i wskazuje wywieszone za szkłem rozporządzenia.

Zaczyna być duszno w sali, może nie tyle z powodu zamknięcia wszystkich okien, ile tej rozmowy.

Morze w swym gniewie jest wspaniałe, wre szalonym życiem i ruchem; wznoszą się to czarne, to śnieżne wzgórza, olbrzymie fale toczą walkę zapaśniczą na śmierć, tłuką o siebie, wałą, gruchoczą, przewalają się, zwyciężają, giną, zmartwychwstają i ma się wrażenie, że ta walka toczy się pomiędzy żyjącymi i czującymi potęgami, że to nie plyn, nie woda, lecz coś twardego, giętkiego, silnego, a ciągłość tego szalonego ruchu wywołuje wrażenie czegoś trwałego, odwiecznego, nigdy się niekończącego.

Mimo tej walki na morzu, huku, trzasku, łomotu fal rozbijanych, pogwizdywania przeciągłego lin okrętowych, przechylania się, wznoszenia i opadania okrętu, nie ma się wrażenia strachu, obawy, przerażenia i po chwilowym rozdrażnieniu następuje apatyczna rezygnacja, poczucie zupełnej bezsilności wobec ogromu sił morza, i patrzy się spokojnie z pewnym zaciekawieniem to na wysiłki nadmierne okrętu, to na ślepą wściekłość wzburzonych toni.

A emigranci?

Po schodach czarnych, oślizłych wchodzi się do ciemnej przestrzeni, oświetlonej trzema okrągłymi oknami, zamkniętymi z powodu burzy.

To trzecia klasa, zwana *Zwischendeck*<sup>21</sup>. Z prawej i lewej strony wznoszą się rusztowania ze sztab żelaznych, podzielone na cztery dolne i cztery górne łóżka. Na siennikach, pod

<sup>19</sup>cyfra (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>przesadzać się w czym — dziś: prześcigać się w czym nawzajem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Zwischendeck* (niem.) — międzypokład a. międzypokładzie: pokład położony między głównym pokładem a dnem statku. [przypis edytorski]

Okręt, Wiatr, Burza,  
Żywioty, Obyczaje

Morze, Okręt

Okręt, Niebezpieczeństwo

Morze, Gniew

Morze

Emigrant, Podróż

kocami, leżą emigranci. Jest tu mroczno, duszno, brudno, chorują wszyscy, mężczyźni klną, kobiety jęczą, dzieci płaczą, a dwaj stewardzi, przeznaczeni do usługi, rozmawiają przy schodach spokojnie, jak gdyby nie słyszeli i nie widzieli chorujących.

Po dwóch dniach morze zaczyna się uspokajać, zawijamy do Antwerpii, dla nabrania ładunku i pasażerów.

W podróży z Antwerpii na Atlantyk pogoda sprzyja, zaroilo się też na pokładzie w tyle okrętu. Kobiety blade, zmęczone, nieustannie nachodzą doktora, żądając natarczywie środka na mdłości i ból głowy: „bo cała choroba jest z tego jedzenia na okręcie, ani to chleba (żytniego), ani kwasu, pożał się Boże takiej strawy”, narzekają na różne tony, przypatrując się w przerwach skalistym wysepkiem Holandii, biało-kredowym brzegom Anglii z wyniosłym Doverem i zielonym wybrzeżem Francji. Pomiędzy starszymi emigrantami rej wodzi Piotr Stefański z Galicji, uczestnik gorączki emigracyjnej w roku 1895, który wróciwszy z Brazylii, po trzech latach pobytu w kraju jedzie znów do Parany<sup>22</sup>. Chłop wysoki, silny, rozprawia dużo o Brazylii, objaśnia, radzi, tłumaczy i trzyma się kompanii szewca Małowskiego, którego kosztem jedzie, obiecawszy za tę cenę połowę swego gruntu w Paranie.

— I wróciście do Galicji swoim kosztem? Sami?

— Ee, to długa historia. Mówi mi mój kmotr<sup>23</sup> spod Przemyśla, tam, w Brazylii, że zarobił w Bremie 800 guldenów<sup>24</sup>...

— Tak dużo? I jakim sposobem?

— Zarobił lekko, bo to Karesch i Stotzky, a także Missler, płacili za każdego człowieka po pięć papierków. Co który chłop przyjechał od niego niby od mego kmotra, do Bremy, liczyło się kmotrowi pięć papierków. Skusiło i mnie, zostawiłem żonę na gruncie i przyjechaliśmy we dwóch z Brazylii do Bremy, no i do Galicji po ludzi; mnie znają, żem nie oszukaniec, i zebrałem ludzi...

Wzdycha i smutnie kiwa głową.

— Cóż dalej? Przywieźliście?

— Iii, nie! Zwiedził się o mnie starosta, a że wyszedł rozkaz, aby nie puszczać ludzi do Brazylii... to i biedowałem do tej pory.

— A żona? Dzieci?

— Pisała mu żona — dodaje z uśmiechem przysłuchujący się szewc Małowski — że kiedy nie szanował, co mu Bóg dał w Brazylii, niech sobie sam radzi.

W ciągu podróży opowiedział dalsze szczegóły umowy ze wzmiankowanymi agentami. Placono dostawcom, czy naganiaczom, po pięć guldenów za każdą dorosłą osobę, wywożono ich podobno do Ameryki, ale on tego dobrze nie wie dokąd. Być może, iż owi męczennicy z Haiti i inni, po plantacjach cierpiący, są owi opłaceni przez agentów chłopów, gdyż nieświadomi nazw miejscowości, warunków, pojmujący Amerykę jako kraj za morzem mogli być kontraktowani, wywożeni i zaprzędawani plantatorom tak niemieckim, jak i obcym. I ten ohydny handel ludźmi trwa po dziś dzień na tych samych warunkach, nie tylko w Bremie, lecz i w Hamburgu, zostaje pod opieką rządu i senatów wolnych miast!

Na pytania, kto i co ich skłoniło do emigracji, odpowiadają ogólnikowo, narzekają na podatki, lichwę, ucisk, a ci z miast i miasteczek dodają w dumnym samopoczuciu: „Już my wiemy, dlaczego jedziemy!” i patrzą porozumiewawczo na siebie.

Minęliśmy Zatokę Biskajską.

Jak daleko sięgnąć okiem, wokoło ciemnoblękitne fale Atlantyku, czasem gdzieś w oddali przemknie biały żaglowiec, zaczernieje parowiec z długą smugą dymu, nadbiegła chmura odbije się na ruchliwej powierzchni morza, zaznaczy się ciemnym pasem wśród błyskotliwych fal w słońcu, zaigrają delfiny lub przefruną ryby latające; a zresztą<sup>25</sup>

<sup>22</sup>Parana — stan Brazylii położony na południu kraju; od 1890 do 1914 do Brazylii napłynęła jedna z największych fal emigracyjnych z Europy Środkowej, obejmująca m.in. ponad 100 tys. Polaków, w większości z przeludnionych wsi zaboru rosyjskiego i austriackiego, którzy osiedlili się głównie w południowej części kraju, przede wszystkim w stanie Parana. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>kmotr a. kumoter (daw.) — kum, ojciec chrzestny; później również bardziej ogólnie jako poufale określenie grzesznościowe. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>gulden — srebrna moneta Austro-Węgier, używana do czasu reformy walutowej z 1892, gdy w jego miejsce wprowadzono koronę austro-węgierską. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

spokój na bezmiarze przepięknych wód, dogrzewające słońce, błękit nieba i niestrudzony okręt, pędzony na odległy, bezkresny Zachód.

Emigranci dniują i nocują na pokładzie, zwierzają się z przeszłości, a najczęściej mówią z zapalem o promiennej przyszłości.

Była południowa godzina, promienie słoneczne odbijały się świetlano od lekkich, niebieskich fal, poruszanych chłodzącym wiatrem z Afryki. Pod rozpiętym płótnem ujrzałem skupioną gromadkę emigrantów; podszedłem bliżej... Jeden z młodych czytał o prawach i przywilejach emigrantów do Brazylii, o nadaniu obowiązkowym ziemi razem z domem i narzędziami... Drugi, przerywając poprzednikowi, czyta głośnie o diamentach, złocie, srebrze i miedzi w Paranie... Nie znając stosunków Brazylii i Parany, wierząc w prawdopodobność podróżnika, którego książkę *Opis stanu Parany* emigranci właśnie czytali, tylko z pewną nieśmiałością przestrzegałem emigrantów przed zbyt słodką nadzieją...

Ci jednak wszelkie przestrogi i lekkie wątpliwości uważali jako osobistą obrazę, żyłali się, mówiąc z drwinami:

— Pan nie był w Brazylii, prawda? A ten pan był i widział, więc kto ma rację, on czy pan?

To ich obrażanie się na uwagi krytyczne łatwo zrozumieć, każde bowiem przebudzenie z rozkoszy jest przecież cierpieniem, a nikt nie chce cierpieć.

— A nie tęskno wam, matko, po córce?

— Źle jej tam z mężem nie jest, a jak tylko się rozwiem i rozejrzę, pošlę pieniądze, to i zaraz przyjadą — odpowiada, pełna wiary w szczęśliwą przyszłość.

Po kraju, po swoich pozostałych nikt nie płacze, nie tęskni, nie wspomina... Żyją i oddychają jasną przyszłością. W Brazylii widzą zbawienie, szczęście, bogactwo. Jedni marzą o bryłach złota i wielkich diamentach: „bo to za jeden kamień można mieć krocie”, starsi prawią o ziemi z lasem, kobiety o dostatkach i wygodach...

Jedziemy dalej wśród nieustannej pogody. Okręt zawija do Wypś Kanaryjskich; bieli się śniegiem szczyt Teneryfy, zielenią się wybrzeża i zajeżdżamy do Portu Las Palmas, miasta na wyspie Gran Canaria. Tylko zbyt wysoka cena łódki odstrasza emigrantów, a są już stęsknieni do ziemi. Od licznych przekupniów nadbiegłych na okręt kupują za tanie pieniądze owoce i papierosy, a w podziw wprawiają ich chłopaki nurkujący za każdą monetą. Samo miasto, przeważnie z parterowymi domami i z okiennicami szczelnie zamkniętymi, brudne, krzykliwe, handlowe, robi niemiłe wrażenie, którego nie zaciera dość obszerny kościół z XVII w., gdzie chwałą się z posiadania śpiewnika liturgicznego na pergaminie z ładnymi inicjałami.

Bliżej równika upały są nieznośne, duszno w kajucie, w sali; żaden wietrzyk nie porusza lśniacej w słońcu tafli morza, które zdaje się, że usnęło i zaledwie dostrzegalnie podnosi się drobną falą, aby znów usnąć. Gorąco trwa i w dzień, i w nocy; grzeją rozpieczone ściany okrętu, podłoga na pokładzie, rury, wentylatory, wszystko, a powtarzająca się rada nauczyciela z San Paulo: „*Kommen Sie auf Bord ein wenig frisch Luft schnappen!*”<sup>26</sup> wywołuje śmiechy i żarty całego towarzystwa, raczącego się lichym winem reńskim, podawanym jednak z lodem. Woda w morzu ma 20° ciepła, a w wannie kąpielowej dochodzi do 30°, zamiast odświeżyć osłabia i przy wyjściu ma się wrażenie, że z waru weszło się w ukrop. Pot ścieka kroplami, każdy włos mokry, całe ciało oślizłe, gorące, niemiłe. Korzystając z braku pań jadących, chodzimy możliwie lekko ubrani. Zaprzestano wszelkich gier, półmiski niemal nietknięte schodzą ze stołu; wszystkich pali pragnienie.

U emigrantów narzekania na gorąco, nudy, brak zajęcia; kobiety wymyślają sobie różne dolegliwości, nachodzą doktora, byle mieć rozmaitość, rozrywkę. Tylko Portugalczycy, którzy wsiedli w Las Palmas, weseli są, a ich towarzyszkę wieczorami tańczą i śpiewają. Nasi w zabawie nie biorą udziału; zmęczeni, znękani gorącem, ożywają się wieczorami to fosforescencją morza, to znów spoglądają na niebo, zdziwieni zniknięciem

Emigrant

Lekarz, Kobieta

<sup>26</sup>*Kommen Sie auf Bord ein wenig frisch Luft schnappen!* (niem.) — Niech Państwo wychodzą na pokład, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza! [przypis edytorski]

Niedźwiedzicy i zjawieniem się Krzyża Południowego<sup>27</sup>, który ani tak pięknie, ani tak jasno nie świeci, jak nasz Wóz.

Za równikiem zaczyna wiać wiatr chłodny; ożywili się wszyscy, poweseleli, i znów rozmowy, dopytywania się, tęsknota do Brazylii.

— A kiedy? Czy daleko? Może jutro?

Miało się ku zachodowi; słońce, które na morzu przy pogodzie zapada jak czerwono żarząca się kula, bez blasków i promieni, dziś schowało się za chmury na kresach widnokregu i rozpoczęła się cudowna gra światła, wszystkie odcienie barwy czerwonej, od jaskrawopurpurowej do ciemnoamarantowej, zabarwiły zachód, poprzedzielane szerokimi pasami seledynowymi... Spośród tych blasków, barw, światel, zarysowały się zygzakowate, fioletowe szczyty gór...

— Brazylia!

Słowo to powtarzali ze drżeniem rozkosznej nadziei wszyscy emigranci, matki podnosiły dzieci, młodzi stali jak zaczarowani, bo oto przed nimi kraj złota, szczęścia, rozkoszy...

— Brazylia!!!

Słońce

## MIASTO MURZYNÓW

Do portu Bahii<sup>28</sup> ze względu na spóźnioną porę nie wpuszczono nas tej nocy; dopiero rankiem w niedzielę stanęliśmy przed miastem. I w tej chwili obskoczyły nas łodzie przekupniów z ptakami, owocami, papierosami i różnymi łakociami, a prawie wszyscy Murzyni ze zrećznością zadziwiająco wdrapywali się po sznurach na pokład.

Wśród nawoływań, zachwalań towaru, gwaru rozmów odezwały się przerażone piski i płacze kobiet i dzieci emigrantów na widok czarnych postaci, kędzierzawych czupryn, białych zębów i lśniących białek oczu. Matki i ojcowie uprowadzali przerażone dzieci, chroniąc je pod pokładem, jednak po chwili przemogła ciekawość i rozpoczął się dość ożywiony targ owoców i przysmaków brazylijskich; zwłaszcza pomarańcze, dziesięć sztuk za trzy kopiejki<sup>29</sup>, miały odbyć<sup>30</sup> wielki.

Samo miasto składa się z dwóch części, połączonych ze sobą windą elektryczną. Dolna część, pełna biur, sklepów i składów, bardzo ożywiona, jest miastem portowym i handlowym, niezdrowym i brudnym, a w górze, na wyniosłej płaszczyźnie, rozciąga się właściwa Bahía z mnóstwem kościołów, klasztorów, z budynkami rządowymi i dość okazałymi, choć jaskrawymi, mieszkaniami prywatnymi.

W dolnym mieście uliczki bardzo wąskie, zaledwie wozom dostępne, zabudowane z obu stron kilkupiętrowymi kamienicami, nie tyle z braku drożyzny placów budowlanych, ile raczej dla cienia, co istotnie mieszkańcy osiąągają, cierpiąc natomiast brak przewiewu i czystego powietrza.

Górne miasto, przestronne, z placami, z ulicami szerokimi, z kamienicami jaskrawo malowanymi, mogłoby przypominać Europę, gdyby nie tłumy Murzynów, snujących się po ulicach. Z 300 000 mieszkańców ma być 240 000 Murzynów w mieście, liczącym przeszło sześćdziesiąt kościołów. Czym Kraków dla Polaków, Moskwa dla Rosjan, tym Bahía, urzędowo San Salwator zwana, dla Brazylii. „Pan Bóg mieszka w Bahii”, mówią z dumą Murzyni, ciesząc się arcybiskupem, kościołami i klasztorami.

W kościele odmienne zachowanie się pobożnych aniżeli u nas. Wystrojone jaskrawo, i zawsze jaskrawo, Murzynki, rozmawiają dość swobodnie, śmieją się, witają, żegnają, a kiedy niekiedy zwracają swe czarnoaksamitne oczy na jaskrawo ubrany posążek świętej lub świętego, wzdychają i modlą się. Przez drzwi otwarte słyhać żarty, śmiechy, nawoływania stojących przed kościołem; często wpadnie pies, przez nikogo niewypędzany,

Miasto

Religia

<sup>27</sup>Krzyż *Południa* (astr.) — najbardziej charakterystyczny, łatwo rozpoznawalny gwiazdozbiór nieba południowego. Jego gwiazdy tworzą figurę krzyża, którego dłuższe ramię wskazuje w przybliżeniu południowy biegun niebieski, podobnie jak na niebie północnym Gwiazda Polarna w Małej Niedźwiedzicy wskazuje biegun północny. Na półkuli północnej Krzyż Południa jest widoczny wyłącznie w okolicach tropikalnych, położonych nie dalej niż ok. 20° od równika, przez kilka godzin nocnych zimą i wiosną, nisko nad horyzontem. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Bahía* — dawna pot. nazwa miasta São Salvador da Bahía de Todos os Santos (Święty Zbawiciel z Zatoki Wszystkich Świętych), położonego we wsch. Brazylii, nad Oceanem Atlantyckim; ob. nosi ono nazwę Salvador i jest stolicą stanu o nazwie Bahía (w dawnej pisowni port.: zatoka). [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*kopiejka* — drobna moneta rosyjska, 100 kopiejek składa się na rubel. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*odbyt* (daw.) — zbyt, popyt, pokupność, popularność wśród nabywców. [przypis edytorski]



lub przefrunie wielki owad, motyl, budząc głośne zaciekawienie małych Murzynków. I wśród tego gwaru towarzyskiego ksiądz przy ołtarzu odprawia Mszę Świętą, a poniżej stopni klęczą z każdej strony po dwa żywe czarne aniołki, dziewczynki, ubrane w białe muślinowe sukienki, z przyprawionymi u ramion skrzydłami gęsimi czy czaplami. Dziewczynki mają przywilej iść w czasie procesji tuż przed monstrancją i rzucać kwiaty. Przy każdym dzwonku ministranta obecni nasłuchują odgłosu puszcanych raket (portugalskie *foguete*), niecierpliwąc się głośno w razie opóźnienia. Owe bardzo częste rakiety i wesoła muzyka organów, grających w przerwach tańce i melodie operetkowe, stanowi bodaj jeden z najgłówniejszych czynników ściągających wiernych do kościoła. Ten sam rodzaj nabożeństwa, z mniejszą lub większą okazałością, powtarza się, naturalnie już z białymi aniołkami, i w innych miastach brazylijskich, ku wielkiemu zgorszeniu naszych emigrantów.

— Jakie to u nich nabożeństwo! Psom chodzić, nie katolikom! — mówią z oburzeniem i jest to jedna z przyczyn, że starają się usilnie o własne kościoły, niechętnie uczęszczając do brazylijskich mimo obecności polskiego księdza.

Po koloniach, we własnych kościołach, panuje taki sam rygor, porządek i powaga jak u nas w kraju i twierdzą, że dopiero u siebie, tj. w swoim kościele, człowiek pomodli się porządnie i należycie.

Patrząc na snujący się tłum — Murzynki starsze i młodsze w żółtych, czerwonych, białych, niebieskich sukniach, a Murzyni w jasnych ubraniach — doznaje się wrażenia, że ktoś dla żartu przebrał ich jaskrawo, by uwydatnić czarność ich twarzy i brzydotę ciała, a jest to tylko ślepe naśladownictwo dawnych ich panów. Te kręcone włosy, każdy z osobna, te grube, wywrócone, fioletowate wargi, te nieproporcjonalnie długie ręce, chude nogi, płaskie, wielkie stopy — mimowolnie nasuwają myśl o fizycznej i umysłowej niższości czarnej rasy i ostatecznie można zrozumieć stanowisko Europejczyków wobec nich i niechęć do mieszania się z tą rasą. Ruchy mają szerokie, nieumiarkowane, rozmawiają krzykliwie, śmieją się grubo i byliby bardzo niemili, gdyby nie oczy łagodne dobrego psa, pewna dobroduszość w rysach twarzy i często miły grymas uśmiechu. W cieniu rozkładają na ziemi nakrytej brudną chustką owoce, słodycze, pokrojone ananasy, zachęcając przechodzących do kupna tonem śpiewnym.

Czasem przesunie ulicą Murzynka z dzieciakiem, niosąc na głowie pełny kosz bananów lub pomarańcz, wołając głośno: *Acujare!* (afrykańskie: dzień dobry), na co odpowiadają inne w tym narzeczu: *Acubaba!* (idź zdrowo); a w cieniu ledwie okryci żebracy i żebraczki wsuwają przez drzwi, okna swą zewnątrz czarną, na dłoni żółtą rękę, z prośbą o jałmużnę. Ile razy widzi się starszych Murzynów, czy to ubranych z przesadną elegancją, czy też okaleczonych, kulawych, ślepych, mimo woli przypomina się ich krwawa niewola u *fazendeiros*, przed oczyma stają bity i męczarnie, bo przecież ludźmi wolnymi zostali dopiero przed jedenastu laty, rozporządzeniem z 13 marca 1888 roku, i zapomina się o ich brzydocie, a pamięta o męce.

Liczba podróżnych pierwszej klasy powiększyła się o dwie pasażerki. Jedna z nich — młoda, ładna Angielka, jadąca do krewnych w San Paulo; druga, starsza, urodzona w Brazylii, misjonarka protestancka. Obie panie cieszą się względami i nadskakiwaniem stęsknionych mężczyzn, ale nikt prawdopodobnie nie miał tak poważnych zamiarów, jak emigrant z Królestwa, spod Pińczowa.

W drugim dniu podróży do Rio de Janeiro prosił mnie, bym się oświadczył w jego imieniu.

— Wszystko mi jedno, Angielka czy Brazylianka, aby kobieta, bo żonatym dają grunt i chałupę.

— Wątpię, czy zechce was która z nich...

— Iii, każdej babie cknij się bez chłopca; abym się umiał rozgadać, już by ona zechciała.

Kolonializm, Niewola

## RIO DE JANEIRO

Dobiliśmy wreszcie na zielone fale pięknej i wielkiej zatoki stolicy państwa, otoczonej półkołem gór skalistych, porośłych lasem, z których najdziwniejszą jest tzw. Głowa Cukru<sup>31</sup>.

Emigranci, z książką p. J. Siemiradzkiego (*Opis stanu Parana*) w ręku, żądają, abym się porozumiał z urzędnikami kolonizacyjnymi na Wyspie Kwiatów<sup>32</sup>. Pytam celników brazylijskich — nie wiedzą o żadnej kolonizacji, ale emigranci są uparci i nalegają: wszak tu idzie o grunt na spłatę i czynną pomoc rządu! Wskazuję dyplomatycznie sformułowany przypisek o ustaniu bezpłatnego przewozu emigrantów, a oni odpowiadają:

— Nam nie idzie o przewóz, lecz o ziemię.

Na Wyspie Kwiatów (*Ilha dos Flores*), niegdyś targowisku niewolników, zapytany urzędnik oświadcza, iż od roku 1895 rząd zrzekł się kolonizacji; tę samą odpowiedź otrzymałem w wydziale ministerium<sup>33</sup>, a jednak książka jest z r. 1896.

Emigrantom żal ziemi, zapomogi, no i smacznego pożywienia, zachwalanego przez ową książkę, pozostaje im jednak zacerpnięta z niej nadzieja, iż rząd stanu Parana przyjmie ich gościnnie, że agent będzie ich oczekiwał w porcie Paranagua<sup>34</sup>, zawiezie bezpłatnie do Kurytyby<sup>35</sup>, a urzędnik odda im upragnioną ziemię z lasem.

Sześć dni należało czekać na parowiec „Itapacy”, mający nas zawieźć do Paranagua.

Punktem środkowym miasta Rio jest dzielnica przy porcie, gęsto zabudowana, hałaśliwa, rojąca się ludźmi różnych zabarwień, przesiąknięta wstrętnymi wyziewami, a byłaby jeszcze brudniejsza, gdyby nie pocziwe, choć brzydkie *urubu*, spełniające bezpłatnie urząd czyszczenia ulic.

Jest to gatunek zwyrodniałego sępa; czarny, bez połysku, większy od kruka, z lekko zagiętym dziobem, na żółtawych nogach, płacze się wśród ludzi, ulic, bezpieczny, leniwy, bo za zabicie płaci się karę pięciu milrejsów<sup>36</sup>, a pełno go nie tylko w Rio, lecz we wszystkich miastach Brazylii.

Ta część miasta, zamknięta górami niedozwalającymi na przewiew, jest stałym siedliskiem febry żółtej, ospy czarnej i innych chorób epidemicznych, toteż zamożniejsi przemysłowcy i kupcy tu mają tylko swe biura i sklepy, otwarte mniej więcej od dziesiątej rano do trzeciej popołudniu, a sami mieszkają w innych, zdrowszych dzielnicach. To unikanie skupienia mieszkańców, zwłaszcza obowiązujący w Brazylii zwyczaj budowania domów w ten sposób, iż każdy współmieszkaniec ma oddzielny wchód, schody, ganek, w ogóle, iż całe mieszkanie nie ma żadnej łączności z sąsiednimi, jest przyczyną, że Rio wydaje się bardzo wielkim miastem, nieproporcjonalnie dużym na 800 000 ludności.

Mieszkańcy wielkich miast posiadają pewne odrębne cechy, które nowo przybyłych uderzają na samym wstępie: gorączka paryżan, zarozumiałość i systematyczność berlińczyków, dobroduszną wesołość i swoboda wiedeńczyków, uprzejmość i powierzchowna elegancja warszawiaków, a w Rio chyba najważniejszą cechą jest lenistwo. Tragarz, doróżkarz, przekupień, urzędnicy w biurach ruszają się ociężale, z wolna, z drażniącą ospałością; cukiernie, piwiarnie, kawiarnie są przepelnione o każdej porze ludźmi przesiadującymi bez celu i interesu; na ulicach najruchliwszych i najbardziej eleganckich, jak rua d'Ouvidor, Primoiro Março, tłumy pań, panów, idących ospale, przystających co chwila

Emigrant

Miasto

<sup>31</sup>*Głowa Cukru* — góra w Rio de Janeiro w Brazylii, położona nad zatoką Guanabara, wznosząca się na wys. 396 m n.p.m., mająca kształt, jaki do pocz. XX w. nadawano cukrowi rafinowanemu na potrzeby handlu: stożkowatej bryły z zaokrąglonym wierzchołkiem. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*Wyspa Kwiatów* (port. *Ilha das Flores*) — mała wyspa przy wybrzeżu zatoki Guanabara, w pobliżu Rio de Janeiro, na której w 1883 cesarski rząd brazylijski zorganizował miejsce tymczasowego zakwaterowania dla imigrantów, gdzie byli oni rejestrowani, przydzielano im ziemię, odbywali kwarantannę i aklimatyzowali się do nowego środowiska; w latach 1894–1896 republikański rząd federalny przekazał odpowiedzialność za promowanie imigracji i przyjmowanie swoich imigrantów poszczególnym stanom, które jednak z trudem ponosiły koszty; w 1907 ponownie scentralizowano politykę imigracyjną i zrestrukturyzowano placówkę na Wyspie Kwiatów. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*ministerium* (daw.) — ministerstwo. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*Paranagua* — morski port miasta Kurytyba w Brazylii, odległy od niego o ok. 90 km. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Kurytyba* — miasto w pld. Brazylii, stolica stanu Parana; ob. główny ośrodek polonijny w Brazylii. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*milrejs* (port. *milréis*) — dawna brazylijska jednostka monetarna, równa 1000 rejsów (*réis*); na pocz. XX w. 1 milrejs miał wartość ok. 60 kopiejek. [przypis edytorski]

przed wystawami, a z każdej twarzy, ruchu wygląda zmęczenie i lenistwo. Czas, godzina, termin zdaje się nie istnieć tutaj; są tylko chwilowe porywy, rodzaj ognia słomianego.

Oto w kawiarni przy stoliku siedzi kilka osób; nagle jeden zrywa się z krzesła, mówi szybko, z zapalem, z ruchami aktora prowincjonalnego, a po chwili siada spokojnie, z twarzą apatyczną, z widocznym zmęczeniem. Odegrał swoją rolę: powiedział kupę patetycznych frazesów i skończył karierę. Jednak ożywają się Brazylijczycy, chociaż na krótko, np. w teatrze, na widok tańca *machicho*, bardzo lubieżnego, i przy walce byków, niegrożącej śmiercią, bo końce rogów są ścięte, opatrzone poduszczkami, i byka nie zabijają.

Na placach, w cieniu pysznych drzew figowych i wspaniałych akacji, kwitnie wśród uboższych gra w karty, w kosze szczęścia, w loteryjki; po restauracjach, piwiarniach, kawiarniach stoją na stoliku kupki skórzane z kośćmi do gry. W każdym miejscu chłopcy i mężczyźni ofiarują natrętnie bilety loteryjne. Grają wszyscy w nadziei zabezpieczenia sobie bytu bez pracy, gdyż im uboższy, lichszy, marniejszy człowiek, tym chętniej liczy na przypadek szczęśliwy, wygrane, odziedziczenie; jest to rodzaj popędu samozachowawczego, objawiającego się w postaci gry, który umiejętnie bywa wyzyskiwany przez państwa słabe, ubogie i nieudolne.

Przez czas mego pobytu nie tylko w Rio, lecz w Brazylii, nie zdarzyło mi się widzieć wśród Brazylijczyków twarzy wesołej, energicznej, tryskającej życiem, nawet u dzieci. Wszystkie zmęczone, ospałe, żółtawe; rysy są jednak delikatne, ładne, oczy przeważnie piękne, choć bez wyrazu, i ubiór staranny. Ręce małe, nerwowe, z niesmacznym przeładowaniem pierścionkami, i nadzwyczajna staranność o zęby, jak mi mówił dentysta, przeważnie sztuczne, którym nadają przez plombę złotą pozory prawdziwych.

A kobiety?

Włosy i oczy prawie zawsze piękne, rysy filigranowe, postać szczupłą; wielkie zamiłowanie do błyskotek i ostrych barw, świecące kolczyki, błyskotliwe broszki, łańcuszki, bransolety i pierścionki; tak chodzą po ulicach, w teatrach, na koncertach, a przede wszystkim od rana do nocy przesiadują w oknach, które posiadają w tym celu specjalną barierkę, rodzaj poręczy, pozwalającej opierać się wygodnie wyglądającym przez okno.

Z wyjątkiem Europejki i arystokracji brazylijskiej, kobiety chodzą bez kapeluszków, zwyczaj usprawiedliwiony temperaturą; i może też z powodu gorąca — panie i panny stroją w domu tylko głowy i popiersia, okrywając resztę ciała nie zawsze czystą spódnicą białą lub kolorową i przyszedłszy z wizytą, trzeba czekać co najmniej kwadrans na zjawienie się pań.

Wszyscy też bez wyjątku Europejczycy zarzekają się żenienia z Brazylijkami, są bowiem, ich zdaniem, zawadą, nieporządkiem i kosztem w życiu rodzinnym.

Pięknej kobiety nie widziałem ani jednej, ponętnych dużo i może to było moim chwilowym usposobieniem, jakkolwiek dużo Europejczyków jest tego samego zdania, że w Brazylije prawie nie można odszukać równego sobie człowieka, tylko rodzaj zabawki, coś podniecającego chwilowo i na chwilę. Być może, iż wczesna dojrzałość i wczesne zamążpójście są przyczyną tego niskiego poziomu umysłowego, gdyż zazwyczaj w piętnastym roku wychodzą za mąż. Jeden z Brazylijczyków, wprowadzając mnie do swych znajomych, uznał za stosowne uprzedzić:

— Może zastaniemy kilka panien.

— Czy córki?

— O nie, p. X. ma tylko jedną, już w latach... stara panna...

— Tak?... On wygląda jednak młodo...

— A córka ma już dziewiętnaście lat — przerwał ze śmiechem — już przekwita, zobaczy pan sam.

Widziałem też później mężatki i matki tak młode, że aż litość brała, gdy się na nie patrzyło, i łatwo się domyślić, jak takie dzieci wychowują swe dzieciaki, a w Brazylii można liczyć tylko na wychowanie domowe, bo szkoły publiczne są liche, bardzo liche.

Moi nowi znajomi brazylijscy odprowadzili mnie do portu, żegnając się ze mną na swój sposób. Po lekkim uściśnieniu ręki przysuwają się szybko korpusem i ręką prawą klepią po lewej łopatce. Nie jest to ani miłe, ani przyjemne, zwłaszcza, że im silniejszy objaw uczucia, tym silniejsza klapanina łopatki i przyciskanie korpusem.

Gra, Los, Kondycja ludzka

Kobieta

Młodość, Kobieta, Matka

Brudny statek brazylijski „Itapacy” był przepelniony nie tylko emigrantami III klasy, ale także liczne towarzystwo Brazylijczyków z Rio Grande do Sul wracało po jakimś głośnym procesie do domu, z żonami i dziećmi.

Naturalnie zamiast o godz. drugiej, wyjechaliśmy zaledwie o piątej, a w malutkiej kajucie dostałem jako towarzysza księdza Anzelma z Ameryki Północnej. Szczupły, niski, przeszło lat 50, szpakowaty blondyn z piwnymi, dobrymi oczyma, w czarnej, lustrynowej<sup>37</sup> marynarce; gdyby nie obojczyk<sup>38</sup> księżowski, z trudnością można by w nim widzieć księdza: mógł być tak dobrze aktorem, nauczycielem, organistą...

Równocześnie przedstawił mi swego towarzysza, pana Z., człowieka młodego, z twarzą zniszczoną, zmęczoną, płaską, chytrze uśmiechniętą; zwłaszcza miał chód charakterystyczny, cichy, skradający się, trwożliwy. Usłyszawszy znane mi nazwisko, zapytałem, czy pochodzi z Królestwa.

— Proszę pana — odparł słodkavo — w Ameryce nie pyta się o nazwisko i krewnych.

Dobry ksiądz Anzelm z niewzruszoną łagodnością wziął mnie w bardzo troskliwą opiekę i z miejsca ofiarował mi proszki, pigułki, ziółka, wszystko bardzo skuteczne i bardzo cudowne.

Nie widziałem człowieka, który by z równą słodyczą i powagą prawil tyle rzeczy o rzeczy i tyle do rzeczy.

Z łagodnym uśmiechem, patrząc na mnie pocziwymi oczyma, mówi słodko po zachodzie słońca:

— Chodźmy, panie do kajuty (nb.<sup>39</sup> brudnej, ciasnej, dusznej), tu niebezpiecznie, można dostać febry<sup>40</sup>.

— Dziękuję, zostanę na pokładzie.

— A to weź pan chininy<sup>41</sup>; oto kapsułka, zaopatrzyłem się w Bostonie.

— Dziękuję, czuję się zdrów.

— Nie należy tak mówić, życie i zdrowie w ręku Boskim, nie nadużywaj Opatrzności... weź pan... tylko połknąć i pomoże.

— Dziękuję, nie lubię lekarstw... Czy widzi ksiądz tę śliczną fosforescencję?

— Gdzie? — pyta prawie z przerażeniem.

— Za śrubą parowca.

— Chodźmy już, chodźmy — nalega tonem prośby — to właśnie najniebezpieczniejsza chwila — i połyka pigułkę.

— Dlaczego?

— Bo pan nie wie, ale mówił mi stary kapitan w New Yorku, że śruba okrętowa dobywa czasem z dna fosfor i on tak świeci... a nie trzeba chyba panu mówić, że fosfor to trucizna... chodźmy już...

— Zostanę.

— Ja nie mogę — i z westchnieniem współczucia opuszcza mnie.

Na drugi dzień mówię:

— Jednak jakie są zielone fale Atlantyku przy brzegach Brazylii.

— To dobrze, bardzo dobrze — odpowiada, nachylając się nad barierą.

— Dlaczego?

— To i tego pan nie wie?!... Fala morska dlatego jest niebieska, że w niej jest rozpuszczony lapis lazuli<sup>42</sup>, no a ten to trucizna.

Bywały też rozprawy filologiczne, np. że litera „i” należy do spółgłosek.

— Ale dlaczego?

<sup>37</sup>lustrynowy (daw.) — wykonany z lustryny, tj. lśniącej, cienkiej tkaniny z wełny lub z bawełny. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>obojczyk — tu: część ubioru księży katolickich noszona na piersiach, służąca do przypinania kołnierzyka; niekiedy także: ta część razem z kołnierzykiem. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>nb. — skrót od łac. zwrotu *nota bene* (dosł.: zauważ dobrze), wprowadzającego ważną wtrąconą informację, używanego w znaczeniu: „warto zaznaczyć”. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>febra — malaria, tropikalna choroba pasożytnicza przenoszona przez komary, objawiająca się nawracającą gorączką i silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>lapis lazuli — półszlachetny kamień ozdobny o intensywnie niebieskiej barwie. [przypis edytorski]

— Zaraz wytłumaczę — odpowiada z właściwą sobie łagodnością i powagą. — Wszystkie inne samogłoski: „a”, „e”, „o”, „u”, „y”, wymawiamy bez pomocy języka, a literę „i”... — tu otworzył usta i pokazał wymawianie: — ruszyłem językiem, a więc „i” jest spółgłoską.

Czasem zagłębialiśmy się w teologiczne subtelnosci, np. jak pogodzić nieskończone miłosierdzie Pana Boga ze sprawiedliwością...

Słuchając go, zrozumiałem, że M. Twain<sup>43</sup> nie przesadza w opisach Amerykanów; już jak się trafi oryginał, to najczystszej wody.

## W PARANIE

W zacieśnionej górami płytkiej zatoce staje statek brazylijski, oznajmiając swe przybycie do Paranagua niemiłosiernym gwizdem, naśladującym miauczenie kota. Zjawiają się kolejno na małych parowczykach: rewizja lekarska, celna i poczta; łódki przewoźników oblegają statek, zachęcając do korzystania z ich usług krzykiem i gestami wielkimi, nieumiarkowanymi, teatralnymi.

— *Cinquo milreis! Tres!... Dois para persona!*<sup>44</sup> — licytują przewoźnicy drapiąc się na statek po linach i schodach.

Chwyając za ramiona, ręce, suknie, wołając do ucha:

— *Patron, vamos!*<sup>45</sup>

Wśród podróżnych trzeciej klasy zjawia się Niemiec, brunet ze słodkawym uśmiechem, i zaprasza polskich emigrantów do siebie bardzo lichą polszczyzną. Ci jednak wzdragają się, oczekują obiecanego im przez książkę agenta rządowego; dopiero groźny rozkaz kapitana zmusza ich do opuszczenia statku.

Przed okrętem, o jaki kilometr, na niskich pagórkach bielą się domy Paranagua, otoczone ubogą roślinnością, zdobne strzelającymi w górę palmami.

Samo miasto z niskimi domkami, z bielejącą drogą i trotuarami wygląda na senną osadę, a to wrażenie potęguje się za zbliżeniem, gdyż niskie, parterowe domy mają okna szczelnie zakryte okiennicami, żadnych dorożek, ruchu przechodniów, żadnego gwaru, handlu i życia. Powietrze duszne, zacieśnione, przesycone wzywaniami pobliskich bagien i moczarów, usposabia do senności i lenistwa.

Przewoźnicy po krzykliwych zachętach do jazdy uderzają ospale wiosłami, nastawiają żagle, klnąc głośno brak wiatru, a mieszkańcy nadbrzeżni w zacienionych zakątkach sklepów zaledwie spojrzą na przybyszów.

Jestem więc w „Nowej Polsce” p. J. Siemiradzkiego, a wiedząc z dawnych oświadczeń „Gazety Handlowo-Geograficznej”, że Paranagua jest „portem polskim”, szukam Polaków i po długich dopytywaniach odnalazłem jednego, jedyne, stolarza z Galicji, ożenionego z Niemką. Trochę rozczarowany, idę na dworzec kolejowy.

Tu, w jedynej sali poczekalnej ruch, gwar, ścisk. Różnokolorowi i różnojęzyczni ludzie cisną się, krzyczą, grożą, popychają, roztrącają się, byle bliżej drzwi wiodących na wąski peron kolejowy.

Emigranci, zawiedzeni w swych nadziejach otrzymania biletów wolnej jazdy, klnąc, kupują; jeden tylko Hrymak z chorą żoną i czworgiem drobnych dzieci nie ma pieniędzy na bilet. Siedzi chmurny i zrezygnowany pod stacją. Na pytanie, co będzie robił, odpowiada:

— Tu, czy tam umrzeć, wszystko jedno, aby tylko śmierć przyszła.

Przy pomocy ks. Anzelma i składek jedzie i on z nami.

Pociąg ruszył.

Za miastem z jednej i drugiej strony toru kolejowego rozstacza swój wiosenny przepych roślinność podzwrotnikowa: pysznie ulistnione drzewa, rozkwitłe oleandry, drzewa fuksji amarantowej, fioletowym kwieciem osypane ihaca-tirano, białe liliowce, pąsowe pasożyty ananasowe, złote kwiaty bagniskowe, smukłe palmy, rozłożyste palmity, laury, pomarańcze, natłoczone kwiatem i owocami, przesuwiają się przed oczyma.

<sup>43</sup>Mark Twain, właśc. Samuel Langhorne Clemens (1835–1910) — amerykański pisarz, autor m.in. satyrycznych opowiadań krytykujących drobnomieszczaństwo amerykańskie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Cinquo milreis! Tres!... Dois para persona!* (port.) — Pięć milrejsów! Trzy!... Dwa za osobę! [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*Patron, vamos?* (port.) — Szefie, idziemy? [przypis edytorski]

Miasto

Rośliny

Gdzieniedzie w pobliżu stacji wśród drzew i kwiatów widać liche, byle jak sklecony domek kolonisty włoskiego z winnicą, z plantacją bananów i ananasów. Włosi stanowią znaczną większość kolonizatorów pobraża brazylijskiego; pracowici, zabiegliwi, oszczędni, marzą niemal wszyscy o powrocie do swej ojczyzny, toteż liczą się do najniestalszych kolonistów.

Im wyżej się wznosimy po krętym nasypie kolejowym, palmy stają się rzadsze, mniejsze, a ponad wszystkimi drzewami wznosi swój dziwaczny wierzchołek sosna brazylijska (*Araucaria brasiliensis*), wysokości 30–40 metrów, z pniem gładkim, równym, a dopiero u wierzchołka wypuszcza konary długie, nagie, zakończone kiścią zielonkawoszarych igieł. Robi wrażenie źle naśladowanej, zmarniałej palmy królewskiej: i tu, i tam pień nagi, równy, gonny<sup>46</sup>, tylko tam u wierzchołka liść pełny, zielony, błyszczący, a tu skarlłowaciały do kosmyka igieł szarawych, a i te z biegiem czasu odpadają i tylko nagie konary, zwrócone ku górze, zostają u wierzchołka. I stoi wysoka, naga, szara, smutna, istny trup wśród przepychu zieleni i barw niższych drzew i krzewów.

Pociąg z machiną sapiącą pnie się w góry, zataczając kręgi, przesuając się nad przepaściami, niknąc w tunelach licznych, a jedzie nieustannie wśród lasów, nagich skał i ponad szumiącymi potokami, bryzgającymi białą pianą na licznych wodospadach.

Kiedy niekiedy na zakrętach widać morze, odrzynające się od nieba fioletową linią, a pomiędzy górami nadbrzeżnymi miasteczko Morretes, wyglądające z tej wysokości białe, ładnie, schludnie.

Na 65. kilometrze podróżni cisną się do okien, by zobaczyć skromny pomnik pomordowanych okrutnie w rewolucji 1894 r.<sup>47</sup>: zwykły, czarny krzyż na postumencie cementowym w głębi przepaści, nad którą przebiega pociąg. Wjeżdżamy na rodzaj stepu wilgotnego, z gajami sosny gęsto podszytej, i w dole bieleje Kurytyba, stolica stanu Parana. Domy rozrzucone, poprzecinane ogrodami, czynią na razie wrażenie rozległego i ludnego miasta.

## W KURYTYBIE

Wiedząc z książki p. J. Siemiradzkiego (*Za morze*, str. 57), że „Brazylianie znajdują się w mieście w ogromnie mniejszości” i „że na otwarciu pierwszego sejmiku prowincjonalnego w Kurytybie Brazylijanów wcale nie było, a republikę reprezentowało dziewczę w krakowskim stroju z brazylijską chorągwią, w asystencji konnej banderii Krakusów... przeróżne stowarzyszenia niemieckie, francuskie, włoskie, a nawet szwedzkie i angielskie...” — byłem przekonany, iż rozmówię się z łatwością w Kurytybie, już jeśli nie po polsku, to w innym europejskim języku.

Przyjeżdżam... wszędzie język „brazylijski”<sup>48</sup>, idę ulicą jedną, drugą, trzecią — sami Brazylijczycy, bruneci, szczupli, z rysami przeważnie typu semickiego, dość krzykliwi, z ruchami szerokimi Południowców; wreszcie po długich poszukiwaniach znaleźliśmy z ks. Anzelmem bardzo liche, bardzo przewiewny i brudny pokój w hotelu niemieckim. Rano idę na targowisko, szukam Polaków — i istotnie, naliczyłem wśród mnóstwa wozów włoskich, niemieckich, brazylijskich, może a może dwudziestą część wasągów<sup>49</sup> polskich kolonistów, i to przy specjalnych postojach obok sklepów, tzw. wend.

Sprawdziłem też, że o przewadze Polaków w Kurytybie mowy nie ma, bo cała Kurytyba posiada (w r. 1900) 2178 domów, z czego należy do Brazylijczyków 780, Portugalczyków 223, Niemców 650, Włochów 411, Polaków 58, Francuzów 49, Szwedów 4, Anglików 3; więc gdzie przewaga Polaków? gdzie ogromna mniejszość Brazylijczyków? skąd owe stowarzyszenia szwedzkie!? angielskie?

<sup>46</sup>gonny — o drzewach: wybują, wysoki i prosty. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Revolucja Federalistów, port. *Revolução Federalista* (1893–1895) — rewolta przeciwko rządowi brazylijskiemu, która wybuchła na południu kraju niedługo po proklamowaniu Republiki Stanów Zjednoczonych Brazylii (1889), mająca na celu decentralizację państwa i uzyskanie autonomii dla stanów; mimo poparcia udzielonego rebeliantom przez Argentynę i Urugwaj ich wystąpienie zakończyło się klęską; wojna domowa pochłonęła ok. 10 tys. ofiar. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>język „brazylijski” — w Brazylii, dawnej kolonii portugalskiej, językiem urzędowym, obecnie ojczystym dla większości mieszkańców, jest brazylijska odmiana języka portugalskiego, różniąca się od standardu europejskiego nieco odmienną fonetyką oraz dużym procentem słownictwa zapożyczonego z lokalnych języków indiańskich. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>wasąg — prosty wóz konny o burtach wyplatanych z wikliny. [przypis edytorski]

Emigranci rozproszyli się, a Hrymaka wziął w opiekę konsul austriacki i obiecuje wystarać się o grunt dla niego u prywatnego właściciela, co się równa dożywniemu poddaństwu, ale i to lepsze niż śmierć głodowa z dziećmi.

Samo miasto liczy co najwyżej piętnaście tysięcy mieszkańców, posiada dwie główne ulice i plac targowy, na których się koncentruje całe życie handlowe. Bruki liche, ale są, a na wysokich trotuarach co kilka kroków umocowane kółka żelazne do przywiązywania koni i mułów, na których w bardzo znacznej części przybywają okoliczni mieszkańcy. I jeszcze jeden szczegół dla nas dziwny na razie: zupełny brak kominów, kuchenne bowiem rury blaszane są umieszczone z boku, niemal niewidocznie.

Jednak szukam Polaków... Za miastem, w domu wynajętym istnieje towarzystwo „Zgoda i jedność”. W dość obszernej, skromnie umeblowanej sali zastaję kilku młodych mężczyzn: nauczyciel ludowy z Galicji i niegdyś praktykanci z różnych fachów... Wszyscy rozgorzyczeni, rozżaleni, wymyślają na „chamów” (kolonistów); zwłaszcza robią to socjaliści; wszyscy są nieuznani, niedocenieni, pomarnowani. Każdy, jak żebrak swe rany, pokazuje i obnosi swe cierpienia urojone i prawdziwe... Przyjechali tu na posady ministrów, a przynajmniej starostów, radców szkolnych i gromowładnych dziennikarzy. Żaden nie myśli wziąć się do pracy fizycznej... „Nie na to przyjechałem tutaj”... „To nie zgadza się z moim stanowiskiem”... — i zawsze w kółko skargi, pretensje i narzekania, przekleństwa... Tej niby inteligencji jest dość w Paranie i tylko mały procent pracuje szczerze... inni dorywczos, aby zjeść dzisiaj. Do tej grupy zmarnowanych przybyło ze mną trzech, a ilu przyjedzie?

I co, kto, jak skłania i tych na poły wykształconych, i owych biedaków chłopów bez żadnych środków, do emigracji? Ci ludzie mogliby być przecież pożyteczni w kraju. Jedni z jadących ze mną emigrantów, jak Jakubski, kamieniarz, zarabiał w roboczy czas do dwóch złr. w. a.<sup>50</sup> dziennie, inni byli gospodarzami małorolnymi; owi trudnili się szewstwem, malarstwem, tak iż ostatecznie mieli byt zapewniony i nie byli bez środków, opłacili bowiem kolej do Bremy, przejazd okrętem (75 rubli od osoby dorosłej) i kolej z Paranagua. Każdy też miał trochę grosza z sobą, z wyjątkiem Hrymaka Wasyla, wiozącego chorą żonę i czworo dzieci.

Nie należy zbyt przeceniać okrzykanej nędzy, bo jeśli w kraju trudno zarobić, zostają zawsze Niemcy, cierpiący na brak robotnika rolnego.

A i w samym kraju z biedą można wyżyć. Oto list, jeden ze stu, pisany do agenta: „U nas nie ma rady dla nas, pany lasy poniszczyli, folwarki powystawiali, u nas nie ma czym zapalić, ale roboty jest, dzięki Panu Bogu, dosyć, i jest dosyć chleba, dzięki Panu Bogu, ale my dla panów wyrabiamy całe swoje zdrowie i nie ma rady dla nas i dla naszych dzieci”.

Emigrują bądź co bądź jednostki energiczniejsze, dzielniejsze, które by mogły i w kraju i wyjść zwycięsko w walce o byt... a jako przyczyny pozostają: wrodzony popęd ludzki do poprawienia swego losu; świadczy o tym wymownie powyższy list Pistuna i działanie agentów.

O bremeńskich łowcach opowiadał już Piotr Stefański, ale nigdy nie zamarzył ani rząd centralny w Rio de Janeiro, ani rząd stanu Parana o tak czynnym, wpływowym a bezinteresownym agencie, jakim jest książka *Opis stanu Parana*.

Agent Towarzystwa „Norddeutscher Lloyd” pokazuje mi list z Galicji: „...i żądam od wielmożnego pana, niech będzie pan łaskaw dla mnie przysłać mapę o Brazylii, o której rozpowiadają ludzie, i całe o Brazylii opisy, i gdzie nasi emigranci pousiadali, to ja będzie się starać przynajmniej z parę familii sprowadzić...”

— Czy pan mu co posłał?

— Człowiek nie z kamienia — odpowiada z miną świętoszka — boleję nad cierpieniem ludzi i chociaż to mnie kosztowało, posłałem książkę i mapę.

— Jaką?

— *Opis stanu Parana* przez doktora Józefa Siemiradzkiego.

Przed wszystkim historia tej książki, wydanej po polsku już w drugim wydaniu.

<sup>50</sup>złr. w. a. — dawny skrót: złotych reńskich waluty austriackiej; walutą Austro-Węgier były guldeny, zwane też złotymi reńskimi, które po reformie walutowej w 1892 zastąpiono przez korony; w życiu codziennym wielu mieszkańców Austro-Węgier nadal liczyło w starych pieniądzech. [przypis edytorski]

Baron Serro-Azul, właściciel wielkich pustych przestrzeni i wysoki urzędnik w Paranie, chciał ściągnąć do tego stanu kapitały Ameryki Północnej i pod jego wpływem Manoel Correia napisał iście amerykańską reklamę stanu na wystawę w Chicago<sup>51</sup>. I tę lichotę plantatorsko-kupiecką przetłumaczył p. Siemiradzki, dał ją bezkrytycznie czytelnikom, dodawszy od siebie nieobowiązujące już (w r. 1896) przepisy emigracyjne i mapę!

Wyobraźmy sobie człowieka biednego, żądnego zmiany na lepsze, któremu ktoś czyta lub któremu wpadnie do ręki ta książka, mówiąca o diamentach, złocie, miedzi etc. (l. c.<sup>52</sup> str. 18); o ułatwieniach przewozu, dostania ziemi, domu narzędzi (str. 56–80); gdy wreszcie ujrzy załączoną mapę z napisami „pola diamentowe” „złoto”, „miedź”, „rtęć” etc. — jakie myśli, marzenia, pragnienia, budzą się w duszy? Czy nie rzuci na szalę swego życia, szczęścia, uczuć? Jakich środków i dróg nie użyje, byle się tam dostać, gdzie leżą skarby, oczekujące tylko jego przybycia!

Złota poszukiwali jakoby Amerykanie, o czym bardzo niejasno mówią notable<sup>53</sup> parańscy, ale zarzucili, gdyż nie opłacała się eksploatacja; diamenty są tylko małe i bezwartościowe, są tacy, którzy je posiadają, ale nie znajdują kupca. I nikt, jak mówią jubilerzy, nie wierzy w diamenty parańskie, z wyjątkiem złudzonych Polaków, przesyłających zwykle krzemienie do jubilera<sup>54</sup>, prócz p. Siemiradzkiego, a i p. Kłobukowskiego, który (*Wspomnienia*, str. 91) chce mieć w rzece Tibagy<sup>55</sup> już gotowe „brylanty”<sup>56</sup>!!

O wydobywanie rtęci, miedzi, żelaza etc. nikt nigdy się nie kusił w Paranie; nawet nadzwyczaj bogate kopalnie w Minas Geraes<sup>57</sup> leżą nietknięte, bo nie ma robotników, dróg i zbytu.

Następnie rząd centralny nie zajmuje się emigracją, rząd Parany nie chce o niej wiedzieć, emigranci od nikogo w niczym nie otrzymują najmniejszych ułatwień, wskazówek, informacji, a prywatni właściciele zmieniają wolnych emigrantów w poddanych wieczystych.

W jakim więc celu rozsiewa się ludzące, a z gruntu fałszywe wiadomości o Paranie? Komu i na co są potrzebne lzy i nieszczęścia ludzi, wywabionych z kraju?

P. E. Bendaszewski, który, zdaniem pana Hempla (*Polacy w Brazylii*, str. 22 i 151), był główną sprężyną ruchu emigracyjnego w Królestwie w roku 1891, dorobił się na krwi i śmierci emigrantów znacznego majątku, a potępiając go bezwzględnie, można zrozumieć pobudkę... Ale chyba tu nie zachodzi kwestia zrobienia interesu i książkę tę, źródło tyłu nieszczęść i rozczarowań, należałoby wycofać z obiegu i zniszczyć jako zarazek chorobotwórczy.

## PARAŃCZYCY

Konstytucja Stanów Brazylii jest przetłumaczoną z małymi zmianami konstytucją Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; zapewnia ona obywatelom swobody wyznaniowe, szkolne, ekonomiczne i sądowe. Każdy stan rządzi się samodzielnie, a do wspólnych spraw państwowych są wybierani przez ogólne głosowanie senatorowie i delegaci.

Stan Parana posiada 240 000 kilometrów kwadratowych przestrzeni i 300 000 mieszkańców, w czym mieści się: Polaków około 45 000<sup>58</sup>, Rusinów 15 000, Włochów 25 000,

<sup>51</sup>wystawa w Chicago (1893) — jedna z wystaw światowych, wielkich międzynarodowych wystaw, organizowanych cyklicznie w różnych krajach, prezentujących osiągnięcia kulturalne, naukowe i techniczne państw świata. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>l. c. — skrót łac. *loco citato*: miejsce cytowane; skrót używany dla wskazania, że autor powołuje się na to samo miejsce przytaczanego dokumentu, które wskazano w przypisie bezpośrednio poprzedzającym; tu błędnie użyty zamiast o. c. (*opus citatum*: dzieło cytowane). [przypis edytorski]

<sup>53</sup>notable (z fr.) — najznakomitsi obywatele. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>I nikt (...) nie wierzy w diamenty parańskie, z wyjątkiem złudzonych Polaków, przesyłających zwykle krzemienie do jubilera — Poznański, jubiler z Rio de Janeiro, ul. Ourives nr 78, ma u siebie listy i krzemienie przesłane z Parany przez Polaków jako diamenty do oceny. [przypis autorski]

<sup>55</sup>Tibagy a. Tibagi — rzeka w pld. Brazylii, lewy dopływ rz. Parapanema. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>brylant — oszlifowany diament, mający formę symetrycznego wielościanu zbliżonego do stożka, z wieloma ściankami (fasetkami). [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Minas Geraes — dziś popr.: Minas Gerais, stan Brazylii położony w środkowowschodniej części kraju. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Polaków około 45 000 — obliczenia ilości osiadłych w Paranie Polaków dokonał p. Leon Bielecki, na podstawie danych urzędowych i ksiąg parafialnych. Z rachunku tego wynika, że w Paranie żyje do 9000 rodzin, a licząc każdą rodzinę średnio po pięć osób, otrzymuje się liczbę 45 000 Polaków. [przypis autorski]



Niemców 18 000, innych narodowości 5000, razem około 108 000 cudzoziemców, a Parańczyków 192 000. Językiem państwowym jest portugalski, tu zwany brazylijskim, i cały rząd spoczywa w ręku tubylców.

Trudno zrozumieć i ocenić rolę ekonomiczną i cywilizacyjną naszych emigrantów bez wejrzenia na miejscu, w Paranie, w stosunki brazylijskie, będące tłem, na którym zarysowują się koloniści. Parana dopiero w roku 1853 została stanem samodzielnym, a poprzednio była częścią stanu San Paulo, miejsca wiekowej deportacji zbrodniarzy, włóczęgów i Żydów z Portugalii i Hiszpanii, którzy zmieszawszy się z Indianami, pierwotnymi mieszkańcami kraju, wytworzyli dzisiejszych Paulistów i Parańczyków.

W roku 1534, za panowania Jana III w Portugalii, upoważniono i zachęcono kapitanów kolonizacyjnych do używania niewolników, pierwotnie Indian, których w części musieli też dostarczać na rynek Lizbony; później, od roku 1636 — Murzynów afrykańskich, i ten stan trwał do r. 1888.

Niewola zarówno upadła niewolników, jak i panów, którzy, jak Brazylijczycy, przez ten czas odzwyczaili się od pracy osobistej, uważając ją za hańbiącą wolnego człowieka; nauczyli się żyć cudzym kosztem, zadowalać swe zachcianki choćby drogą krwi i życia niewolników, szukać z próżniactwa tylko rozkoszy i zadowolenia zmysłów, uważając siebie w stosunku do niewolników za coś wyjątkowego, uprzywilejowanego, nadzwyczajnego.

I taki naród, zmarniały praktykowaną niewolą, bez żadnej własnej cywilizacji i kultury, przyzwyczajony od wieków do samowolności, otrzymuje nagle w roku 1889 konstytucję idealną, a pierwszy użytek, jaki czyni ze swobody, jest to czyn niesprawiedliwej zemsty, wypędzenie inicjatora wolności niewolników, cesarza Piotra II.

Uogólnienia przemawiają wyjątkowo; czyny, ilustrując, przekonywają. Oto kilka dowodowych ilustracji:

W roku 1893, wbrew woli wyborców stanu Rio Grande do Sul, prezydent Republiki przeparł wybór swego faworyta, J. Castilhosa. Niezadowoleni, zebrawszy się w majątku Maragaty, wystąpili zbrojnie przeciw centralnemu rządowi, wezwawszy na pomoc Parane. Rządowcy, zwani od czapek kolorowych pikapauami, zwyciężyli maragatów w r. 1894. Jedni i drudzy przesadzają się w opisach popełnianych okrucieństw, straszniejszych aniżeli hajdamackie<sup>59</sup>.

— Opowiadano mi jednak, że pikapauowie, mordując wziętych w bitwie, pili ich krew — mówię do gorącego zwolennika rządowców.

— Kłamstwo, bezcelne kłamstwo! — woła oburzony. — To robili tylko podli maragaci nad Yguassu<sup>60</sup>.

— Oni twierdzą, że to wy pod miasteczkiem Lapa; mają świadków nawet...

— To wyjątek; pan przecież rozumie: człowiek nie odpowiada w pasji, w uniesieniu... Ale u nich picie krwi było regułą.

Rozmowa na ten temat z maragatą kończy się podobnie, tylko, że „u nich” (pikapauów) było to regułą, a „u nas” (maragatów) wyjątkiem.

To wypijanie krwi zwycięzonego, aby jego odwaga ożywiła zwycięzcę, było zwyczajem ludów dzikich, ale jakże blisko są z nimi spokrewnieni dzisiejsi Brazylijczycy, pijąc ciepłą krew wroga!

Oba stronnictwa obchodziły się okrutnie z jeńcami, mało których żywili, a zwykła egzekucja polegała na zmuszeniu jeńca do wykopania grobu; stawiano go nad nim, podcinano żyły niżej kostki i żywego zasypywano ziemią. Tak pikapauowie, jak i maragaci, pokazują mogiły w ten sposób pomordowanych.

Może jednak pikapau ma rację, mówiąc o „uniesieniu, pasji”... Otóż już po wojnie domowej. Vincente Machado z generałem Quadros wchodzi jako zwycięzca do bezbronnej Kurytyby i zaczyna się rząd pikapauów.

W mieście są bogaci i wpływowi ludzie, jak baron do Serro Azul, J. Ferreira de Moura, M. Gaedes, J. Schleder, B. Mindonca, A. Correia, spokojni, dalecy od powstania, ale nie pochwalający surowości pikapauów.

<sup>59</sup>hajdamaka — powstaniec kozacki, czyli uczestnik hajdamackiej, ruchu chłopskiego przeciw uciskowi szlachty polskiej na Ukrainie w XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>Yguassu — dziś popr. Iguacu, rzeka w pld. Brazylii i pln. Argentynie, lewy dopływ rz. Parana. [przypis edytorski]

Jednego wieczora aresztują ich, by wysłać jako zakładników istniejącego porządku do Rio de Janeiro. Wsadzają ich na kolej w Kurytybie z eskortą oficera, któremu generał Quadros wręcza list zapieczętowany z rozkazem otworzenia na 60. kilometrze.

Był to rozkaz pomordowania więźniów.

Oficer zdał całą sprawę sierżantowi, który zatrzymawszy pociąg na 65. kilometrze, zaczął wraz z żołnierzami wyrzucać więźniów w przepaść, a opierających się mordować, odcinając ręce, trzymające się kurczowo drzwiczek wagonu.

Hamownicy i dozorczy kolejowi opowiedzieli nazajutrz w Kurytybie całą scenę zabójstwa na 65. kilometrze i tylko jedna pani do Serro Azul wykradła ciało zamordowanego męża i pochowała pod kaplicą na górze Alto San Gloria w Kurytybie.

Morderstwo zostało bez kary, mimo próśb i wpływów, bo rządy faktyczne sprawował p. V. Machado, najwplywowszy i najzaufanszy mąż stronnictwa pikapauów, i nikt nie mści się nawet prywatnie, bo w parze z okrucieństwem idzie tchórzostwo.

Już jeśli kto ma być odważny, to chyba uzbrojona od stóp do głowy policja i wojsko...

W r. 1898 przyjeżdża do Kurytyby Emilio Segneira de Araujo z Pernambuco, poszukiwany listami gończymi za liczne morderstwa, ale listy gończe idą z wolna, bo Emilio ma wpływowego wujka w Rio. Do kwietnia 1899 roku żyje Emilio w Kurytybie, jest na usługach pikapauów... ale „przypadkiem” zabija opierającą mu się kobietę, wkrótce ginie druga, a obrońcę mordercy dźgnął nożem; jednak chodzi swobodnie. Obywatele zaczynają szemrać, więc pięćdziesięciu odważnych z policji i wojska śledzi śmiałka i daje ognia do stojącego w pobliżu katedry. Raniony ucieka konno do S. Jose de Pinhares<sup>61</sup> i tu z piwnicy dobywają go, kują i odstawiają do Rio pod opiekę wpływowego wujka. Za kilka miesięcy oczekują jego powrotu...

Oficer kawalerii Jambo wchodzi na bal niemiecki i podniecony rani nożem dwudziestu jeden ludzi; aresztowany, zostaje skazany na 25 lat więzienia... ale rodzina należy do rządzących, wyrok uchyla się z powodów formalnych, ma nastąpić rewizja, a tymczasem Jambo spaceruje w towarzystwie strażnika, uczęszcza do kawiarni i śmieje się, podkręcając czarne wąsiki.

Siedzimy w kawiarni „High Life”, utrzymywanej przez Belgijczyka. Wchodzi wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna; wielki kapelusz filcowy przesłania oczy, spod narzuconej peleryny sterczy długi nóż i kolby pistoletów.

Żąda koniaku od poblądnętego za ladą gospodarza, a że z wyciągniętego pugilaresu<sup>62</sup> wylatują papiery, więc przybija je nożem do lady. Gospodarz przy ruchu noża chwytając pełny syfon, cofa się, stając w pozycji obronnej... Wypił kilka kieliszków, schował nóż, wbity w ladę, zapłacił i wyszedł.

— Kto to?

— Osio Melo de Castro, syn doktora; jednego zabił, trzech pokaleczył...

— I chodzi wolny?

— Boją się go zaczepiać, a przy tym ojciec jego ma wpływy... Ale widzieliście, panowie?... Byłbym mu syfonem rozbił głowę!... — chwali się Belgijczyk.

Każdy mieszkaniec Parany dbały o swoją całość tylko uzbrojony wychodzi wieczorem z domu; rewolwer tuż przy zegarku, a powyżej, pod ramieniem wisi nóż.

W czasie wyborów, gdy nie wolno w ciągu ośmiu dni aresztować, rozstrzyga prawo pięści. Oto grupa wyborców, białych, czarniawych i czarnych, kłóć się, po chwili rozdzielają się na dwa stronnictwa. Lecą obelżywe słowa: „*escrasado*”, „*ladrone*”, „*o diabo*” „*filho da puta*”...

Błyskają noże... Murzyn wrzeszczy:

— *Capoera!* — jest to taniec z brzytwami, przytrzymywanymi w dłoni, jedna z najstraszniejszych broni.

Nadeszli inni i na razie skończyło się na pogroźkach... Bywa jednak gorzej i np. jednemu z moich znajomych wykłuto oko w podobnej bójce.

Co chwila obiegają wieści: zakłuto tyłu a tyłu; ten dostał kulę; tamtego pokrajano brzytwą...

Kogóż sądzą i karzą?

<sup>61</sup>S. Jose de Pinhares — dziś popr.: São José dos Pinhais, brazylijskie miasto w stanie Parana, ob. stanowiące część metropolii Kurytyby, odległe o ok. 15 km od centrum. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

Słabszych, bo za silnym jest prawo.

Policji i wojska unika każdy, jest to bowiem zbieranina najgorszych szumowin brazylijskich. Skazanym za kradzież, rozbój, gwałt, kaleczenie zostawia się do wyboru: albo odsiedzenie kary, albo odsłużenie jej w policji lub wojsku... a gdy zabraknie skazanych, urządza się rodzaj polowania na młodszych i kto się nie wykaże stałym zajęciem, zostaje w szeregach.

Mniej więcej 80 procent jest Murzynów i Mulatów tak w policji, jak i w „naszym walecznym wojsku”.

O subordynacji w naszym rozumieniu nie mają pojęcia, chodzą ociężale, brudno, z karabinami zardzewiałymi. Na posterunku sypiają, ale idzie oddział z oficerem na czele... żołnierz, zginając się, przyslaniając ręką lewe ucho, wrzeszczy:

— *As armas!* (tzn. do broni).

Leniwo, przeciągając się, zbiera się straż, prezentują broń... skończyli.

Zmęczony posterunek idzie pokrzepić się wódką w pobliskim szyneczku<sup>63</sup>, stawia w budce karabin, mówiąc do towarzysza:

— *Guarda o meu carabine* (przypilnuj mego karabina).

W koszarach trzymają papugi, małpy, z którymi się nie rozstają nawet w czasie służby. Z powodu złego prowadzenia się, nadużyć, tchórzostwa są w ogólnej pogardzie, a bywanie oficerów w domu uważane jest za rzecz nieprzyzwoitą i niewłaściwą.

A przekonania Brazylijczyków?

Zupełna obojętność pod względem religijnym, granicząca z ateizmem, zaledwie formy chrztu, ślubu, pogrzebu zachowują dla pozoru.

Ksiądz nie budzi szacunku, poważania.

Jechałem przez trzy dni z biskupem Kurytyby ks. Jose de Camargo Barros; na pokładzie statku witały się z nim znajome mu panie lekkim podaniem ręki, mężczyźni również, nikt nie wstał, chociaż on, stojąc, rozmawiał z nimi czas jakiś, a innych księży tylko tolerują, jednak bez przycinków lub złośliwych uwag.

Na próżno odczytywałem pilnie dzienniki, dopytywałem się bliższych i dalszych znajomych, rozmawiałem z główniejszymi osobistościami stronnictw — nikt, ale to bezwzględnie nikt nie umiał mi wskazać różnicy zasad i dążeń pomiędzy pikapauami a maragatami.

Szło i idzie tylko o osoby, a mianowicie, czy zwycięży dr Vincente Machado, czy dr Pereiro. Mówiąc szczerze, istota stronnictw i całe wybory polegają na tym, czy u żłobu rządowego zostaną podtuczone pikapauy, czy dorwą się wygłodnieli maragaci.

Lada zaburzenie uliczne, lada zmowa, nazywa się u nich *una revolução*, mówią o niej, komentują, rozprawiają, oczekują większej z radością, bo jak mi mówił jeden osiadły od dawna Portugalczyk: „Brazylijczycy przyjmują chętnie formy cywilizacji, są z nich nawet dumni, ale po pewnym czasie one ich męczą, nudzą, przykrzą się i wtedy robią... rewolucję, aby choć na chwilę zrzucić więzy form...”.

Brazylijczycy nie zajmują się handlem (nie liczę kilku nędznych sklepów), przemysłem, rzemiosłem, tylko albo piastują urzędy najrozmaitsze, dość dobrze płatne, albo też siedzą na swych wielkich, nieuprząwnych posiadłościach.

Wszystko, co się nazywa interesem, pracą, przedsiębiorczością, postępem, jest w rękę Portugalczyków, Niemców, Francuzów lub Anglików.

W życiu towarzyskim naśladową bardzo lichy szyk francuski: są grzeczni aż do znużenia, do mdłości; uczynni, ale tylko w słowach; są szczerze lekkomyślni; nadzwyczaj próżni, chwalczy i mówcy z zacięciem patosu w najgorszym gatunku, nie liczą się bowiem ze słowami. „Nie było i nie ma na świecie, w historii większego, lepszego, szlachetniejszego...” etc. etc., to znaczy po polsku w najlepszym razie: „dobry człowiek”.

A dzienniki są tylko echem ich umysłowości; oto próbka: „Dwa tylko ideały, dwa bogi, nierównane, najdoskonalsze, wieczne, posiada cała ludzkość: to Tiradentes i Chrystus”...

A Jose da Silva Xavier, zwany Tiradentes, wszczął w roku 1792 w Minas Geraes zbrojny bunt przeciw Portugalii i zginął pod kołem... Iluż takich liczy... ludzkość, ale tylko w Brazylii są Chrystusami.

<sup>63</sup>szyneczek — zdrobn. od: szynk, podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

Wchodzimy do salonu bogatego Brazylijczyka. Trzy okna od ulicy otwarte, kinkiety i lampy jasno rozświetlają pokój, a przechodząca publiczność zagląda, robi często głośne uwagi. Pod ścianą na prawo od wejścia kanapa, po bokach dwa fotele, zajęte przez damy starsze. Od jednego i drugiego fotelu, w linii równoległej rząd krzesel, na nich młodsze panie i panny. Stół przed kanapą pełen ciast, owoców; służąca roznosi czarną kawę.

W pokoju jadalnym, do którego nas proszą, sami panowie, panie już jadły; na stole, jak tu jest zwyczajem, ustawiono wszystkie potrawy od razu, służący zmienia tylko talerze.

Gdyby nie wstrętny zapach tłuszczu, nie dający się zabić ostrymi przyprawami, to może mogłaby smakować kuchnia brazylijska, ale zawsze i wszędzie czuje się ten tłuszcz, nawet w palmitach. Jadłem je, skuszony znakomitym opisem jednego z podróżników, który znalazł w nich „smak między grzybami, śledziami, szparagami, kwaszoną kapustą” — nic z tego: co najwyższej przypominają surowe głąbie kapusty.

Jemy, pijemy zupełnie bez dam; rozmowa, po wyczerpaniu możliwej i niemożliwej krytyki przeciwników politycznych, kuleje. Nagle wstaje jeden z gości i słowami w superlatywie wypowiada mowę na cześć gospodarza, inni jedzą, skończył... nadpito szklanki... Potem wstaje drugi, trzeci i tak zabawialiśmy się od siódmej do dziewiątej wieczór; następnie kawa, panie się ubierają... To nazywa się bardzo przyjemny wieczór.

Gdy razem są panie i panowie, rozmowa toczy się na temat przewinień stronników politycznych, o zmianach w urzędach; często padnie dwuznacznik przyjęty wesoło i zabawy towarzyskie w rodzaju pierścionka, mrużka itd.

Kobiety, póki młode są i ładne, w ogóle bywają pilnowane, strzeżone, podejrzewane — czy słusznie, nie wiem, ale że nie grzeszą zbyt dużą pruderią, można poznać z żartów często zbyt swobodnych, i np. na pokładzie statku, a była to arystokracja z Rio Grande do Sul, chodziły w białych kaftanikach bardzo luźnych, w sukniach zbyt przylegających, bo bez spódnic, w pantoflach przydeptanych i obchodziły się bez żeńskiej obsługi.

— Czy stewardzi obsługują panie?

— Naturalnie... steward to prawie niewolnik.

Miłość bywa podobno u obojga bardzo gwałtowna i namiętna, ale owych serenad pod balkonami, mandolin, nie słyszałem ani widziałem. Jeden, jedyny raz śpiewał piosnkę zakochany młodzieniec pod oknem brunetki ładnej, z pięknymi, czarnymi oczyma i po czułych nazwach kończył:

*Todo o dia eu non desejo  
Nada. De noite so peço um beijo  
E logo — pois non verao os país  
Um pouco mais*

Zdaje się, że Brazylijczycy do rozróżniania siebie według nazwisk jeszcze nie doszli; zawsze mówią do siebie i o kimś po imieniu; nawet na poczcie spis listów nadeszłych formuje się tylko według imion chrzestnych. Pod względem imion i nazwisk są w wyborze dość wybredni i jak zawsze patetyczni; oto kilka dla przykładu: Franklin Washington Botafogo, Rubens Aristides de Conceição (Poczęcie), Joan Cicero de Deus, Paulo Jesus de Assumpção (Wniebowzięcie) itd.

Do tych Brazylijczyków, ledwie pokostowanych obcą cywilizacją, należy doliczyć na pół dzikich, barbarzyńskich mieszkańców lasów i stepów: *caboclos*, którzy nie zdołali jeszcze przyswoić sobie tych okrucichów cywilizacyjnych, będących współludziem ich braci z miast i wielkich majątków, tzw. *fazendeiros*, od słowa *fazenda*, majątek, własność ziemska.

Jest to społeczeństwo w chaosie, licho zorganizowane, bez indywidualności cywilizacyjnej, bez przemysłu, rolnictwa, handlu i prawdopodobnie przy swym wstępie do pracy osobistej, przy ubóstwie dróg kształcenia (na całą Brazylię dwa gimnazja rządowe w Rio) może ulec w walce o byt z innymi narodami.

Jedzenie, Obyczaje

Kobieta

## W DRODZE NA KOLONIE

Ale dość już tych Parańczyków, ich kuchni, ich stolicy Kurytyby — na kolonii! „Mnie tu nuda zabije...”<sup>64</sup> zwłaszcza w towarzystwie zawsze dobrego i słodkiego ks. Anzelma.

Być może, iż systematyczność jest dobra, pożądana, konieczna, iż jest zaletą, łaską, cnotą... ale jest ona zabójcza, gdy się z nią żyje w małżeństwie, i w dzień, i w nocy.

Codziennie ks. Anzelm budzi się o godz. 5 rano, przemawia do mnie cicho, głośniej, jeszcze głośniej, wreszcie budzi.

— Kochany pan trzyma źle głowę; zbudziłem, bo to szkodzi, o, bardzo szkodzi!

Albo też:

— Mamy dzisiaj prześliczny dzionek.

Albo:

— Pająk był tuż nad kochanym panem.

Następnie wstaje, chodzi boso, jako zwolennik metody Kneippa<sup>65</sup>, modli się, a o godzinie 5 min. 30 zaczyna się umywanie, wycieranie, spluwanie, płukanie, przebieranie; i tak z zegarkiem w rękę, dzień w dzień, o minutę nie chybi, a również pytania:

— Jak się kochanemu panu spało?... Jak zdrowie?... Radzę wziąć pigułkę, mam zapas z Bostonu... A może chininy, tylko połknąć, febra to choroba niebezpieczna... A może kropelkę esencji koprowej, doskonała na... uwolnienie się od złego powietrza w żołądku.

I te nieustanne uwagi higieniczne przy jedzeniu:

— Tego nie radzę jeść... O, proszę nie pić... Na to nie pozwolę, z tego ból... żołądka... głowy... serca... oczu... rąk i nóg...

Oczywista, wszyscy i wszystko, jest lepsze, doskonalsze, zdrowsze... „u nas w Texas<sup>66</sup>... u nas w Bostonie... u nas w Chicago...”, a przy tym zawsze łagodny, dobry, pocziwy i oszczędny.

Z Brazylijczykami trzeba się koniecznie targować: to zasada, której trzyma się stale, i pierwsze słowa po usłyszeniu ceny są nieodmienne: *o muito caro!* (za drogo) — jedyny frazes<sup>67</sup> brazylijski, którego się nauczył dotychczas.

Kolej do Rio Negro<sup>68</sup> (161 km), posiadając zagwarantowane od rządu 7%, nie dba zupełnie o rozwój i pociągi osobowe wysłała co drugi dzień. Z tego powodu zawsze ścisk na kolei i pogoń za miejscem. Nie mogąc dostać się do kasy, uprosiłem księdza Anzelma, by kupił bilet i dla mnie. Ksiądz żąda biletów do Rio Negro, urzędnik wymienia należną sumę.

— *O, muito caro!* — woła ksiądz odruchowo i chowa pugilares.

Kasjer wybuch gniewem, następnie usuwa księdza, i z trudnością dobiliśmy się biletów.

W wagonie ks. Anzelm, chcąc mi widocznie zrobić przyjemność, prowadzi rozmowę literacką:

— Czy czytał pan Zolę<sup>69</sup>?

— ?

— Nie zna pan? To Żyd, mason, podobno pisze i układa gazety, rząd wypędził go z kraju.

— Za co?

— Za masonstwo... chciał napisać i publicznie drukować *Fertile Évangile*<sup>70</sup>, o, to znany mafia, łajdak, tak nazwać świętą Ewangelię... u nas zlinczowanoby takiego zbrodniarza...

<sup>64</sup>*Mnie tu nuda zabije* — cytat z poematu *Kirgiz* (1842) Gustawa Zielińskiego. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*Kneipp, Sebastian* (1821–1897) — bawarski ksiądz katolicki, propagator hydroterapii, urozmaiconej i pełnej diety oraz ziołolecznictwa. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*Texas* — Teksas, stan w południowo-środkowej części Stanów Zjednoczonych; do 1836 prowincja Meksyku, w jęz. hiszpańskim nazwę Texas wymawia się: tehas. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*frazes* (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*Rio Negro* — miejscowość w Brazylii, w stanie Parana, nad rzeką Rio Negro, ok. 100 km na pld.-zach. od Kurytyby. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Zola, Emile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*Fertile Évangile* (fr.) — Płodna Ewangelia; Émile Zola od 1898 pisał cykl powieściowy *Cztery Ewangelie* (*Les Quatre Évangiles*), w którym odszedł od naturalizmu na rzecz utopijnego przedstawienia rzeczywistości idealnej; do śmierci zdołał ukończyć trzy pierwsze tomy, noszące tytuły: *Płodność*, *Praca* i *Prawda*, oraz naszkicować czwarty, *Sprawiedliwość*. [przypis edytorski]

Słuchając oburzeń na tego masona, który, jak donoszą „nasze gazety”, pisze jednak „niezgorzej”, patrzę przez okno na rozległe stepy, poprzerzynane parowami, z gajami podszytej araukarii<sup>71</sup>, z trawą ostrą, bujną, kupkowatą, z licznymi, do dwóch metrów wysokości, kopcami termitów. Ptactwa bardzo mało, tylko wielkie jastrzębie, to się ważą pod jasnym niebem, to leniwo podnoszą się z ziemi.

Kiedy niekiedy gdzieś w oddali błysnie dom fazendera; czasem wstrzyma się pociąg, by przepuścić stado bydła, wielkie krowy z rogami nadmiernymi, ku sobie zwiniętymi, pyszne i dumne stadniki<sup>72</sup>, rosłe cielaki, ssące jeszcze, a wszystko popędzane przez konnych pastuchów, w towarzystwie psów małych, złych, z lisimi pyskami. To znów zadudni ziemia od stada mułów lub koni, lecących na oślep w step szeroki. Nie jest to step ukraiński, bezbrzeżny, z falującą roślinnością; przypomina raczej Podole swymi parowami i żółtoczerwonawą, czasami czarną glebą.

Jesteśmy na stacji, wszystko jedno jak się nazywa, Araucaria czy Guajuvira<sup>73</sup>, na każdej tuż za budynkiem kolejowym bufet.

Jest to budka zbita z tarcic nieheblowanych, z ladą pierwotną<sup>74</sup> na słupku, a na niej kilkanaście filiżaneczek do czarnej kawy, już osłodzonej, nalewanej z wielkiej blaszanki; na przekąskę biszkoptowe ciasto — oto wszystko co daje stacja za stosunkowo drogie pieniądze. Przy budce zawsze ścisk, gwar, potrącania, wyrywają sobie filiżanki, byle dostać się do kawy.

Jedziemy pierwszą klasą, bowiem na kolejach brazylijskich istnieją tylko dwie klasy: I i II, tym się różniące, że w II są podłużne ławki z desek, a w I wyplatane. Mimo okien otwartych na przestrzał gorąco, duszno, zwłaszcza gdy wsiedli *caboclos*, wszyscy bosso, co najwyżej w patynkach<sup>75</sup>; zapach potu końskiego, czosnku, tłuszczu i brudu drapie w gardle, męczy, staje się nieznośny.

— Niech się pan nie wychyla, to niebezpiecznie... Zamknę okno! — grozi ze słodką powagą ks. Anzelm.

Wreszcie Rio Negro, mała miejscina nad splawną rzeką tegoż nazwiska, z ludnością przeważnie brazylijską, w bliższych okolicach kolonie niemieckie.

Do Luceny<sup>76</sup> jeszcze trzydzieści trzy kilometry końmi, i po długich dopytywaniach, odnajduję zajazd Luceniaków u Andrégo, Żyda z Rosji, udającego niezgorzej, naturalnie Brazylijczyka. Wynajmuję wielką budę towarową, należącą do kolonisty Polaka, zaprzężoną w cztery wcale dobre konie.

Przed naszym wyjazdem raniutko na drugi dzień zjawia się w zajeździe młoda kobieta, żona pracującego przy kolei i prosi naszego furmana, rosłego, silnego szatyna z brodą, o podwiezienie jej do rodziców.

— A proście pana — i zwraca do mnie przyjemną twarz, ze szczerym, dobrym uśmiechem.

— Spytam księdza, pewno pozwoli.

W głębi, pod budą płócienną, siedzi ksiądz Anzelm; usłyszawszy propozycję, zawołał z energią, której nie przypuszczałem:

— Co? Ja? Ksiądz? Z kobietą?!

— Spieszno jej do rodziców...

— Nie, nigdy, niech zostaje, niech idzie pieszo, ale nie ze mną!

— Tyle miejsca...

— Wiem ja, wiem, do czego prowadzi kobieta! — woła z błyszczącymi od gniewu oczyma. — Wszystko złe od niej... wybieraj pan: albo ja, albo ona!

Jedziemy, a gdy się udobruchał, pytam o przyczynę tej niechęci.

Ksiądz, Kobieta

<sup>71</sup>araukaria — rodzaj drzew iglastych rosnących na półkuli południowej; w płd. części Brazylii rośnie araukaria brazylijska, nazywana w innych miejscach tekstu „sosną brazylijską”. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>stadnik — samiec rozplodowy bydła hodowlanego. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>wszystko jedno jak się nazywa, Araucaria czy Guajuvira — araukaria to drzewo iglaste występujące w płd. Brazylii, zaś guajuwira to potoczna nazwa drzewa *Patagonula americana*. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>pierwotny — tu: prymitywny. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>patynki — tu: proste, płytkie obuwie skórzane. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Lucena — osada kolonistów w płd. Brazylii, w stanie Santa Catarina, niedaleko od granicy ze stanem Parana; założona w 1890 lub 1891, zapoczątkowała obecne miasto Itaiópolis. [przypis edytorski]

— Bo ja znam świat... zaczyna się od rozmowy, potem żarty, zgorzenie, Sodoma i Gomora<sup>77</sup>! — aż poblądł z oburzenia.

— Ale tu nie było tego niebezpieczeństwa, a ona się zmęczy, tyle kilometrów.

— Lepsze zmęczenie od pokusy i grzechu — odpowiedział twardo.

— A wy dawno w Brazylii? — pytam woźnicy.

— Idzie rok dziewiąty.

— Jakże wam się powodzi?

— Chwała Bogu nieźle, szakier (portug. *chacra*, własność ziemska) jest, chudoba<sup>78</sup> także, to i co ma być źle?

— Więc wam dobrze?

— Dobrze, niedobrze: jeść jest co, ale o pieniądzu trudno. U wendysty (sklep) wszystko dostanie, ale wszystko za żyto, za miłą (portug. *milho*, kukurydza), za ziemniaki...

— To już byłoby lepiej sprzedać...

— I komu? Taki wendysta także nie ma pieniędzy, i on za towar daje towar. I to najgorsza bieda, bo trudno oszczędzić. Czy myśli pan, że zląkomiłbym się na te dwadzieścia pięć milrejsów, gdyby to nie gotówka?

— Zawsze to dobry zarobek...

— Lepiejby mi było zawieźć towar do wendy, ale gotówka gotówką.

— To tak trudno o pieniądzu w Brazylii?

— A skąd ma być, kiej<sup>79</sup> tylko my robimy, a te Brazylichy po mieście patrzą tylko rządowej kasy!

— No, nie wszyscy...

— Pan myśli o „borowych” (Brazylijczyk mieszkający na wsi, pod borem *caboclos*).

— Uśmiechnął się: — Taki nie imię<sup>80</sup> się żadnej roboty, on wszystko bierze w wendzie na *herwę* (gatunek herbaty brazylijskiej) — i wskazał batem liczne drzewa przy kolonii niemieckiej.

Drzewo to (*Ilex paraguensis*<sup>81</sup>) średniej wysokości, z korą szaro-białawą, którego liście jajowate, obcinane co cztery lata z gałązeczkami, dają herbatę, zwaną *herwa matte*, rozpowszechnioną i używaną w południowej Ameryce.

— A wy macie herwę?

— Mamy, ale jak nam co trzeba u wendysty, patrzmy na ręce i idziem na robotę; a taki borowy będzie marł głodem, a nie pójdzie. On patrzy herwy.

— Cóż siejecie?

— To, co i u nas. Koło domu warzywo, a dalej ziemniaki, żyto i miłą.

— Powinniście sadzić bawełnę — zaczyna ksiądz Anzelm i długo, szeroko, rozwlekle opowiada o korzyściach bawełny.

Chłop słucha, potakuje duchownej osobie, ale swoją drogą mówi na każdy zarzut:

— My znamy się z tym, co siejemy; może tamto i lepsze, ale co swoje, to swoje.

Zajeżdżamy na popas<sup>82</sup> do wendysty Niemca, który swoją główną izbę przyozdobił portretami całej generacji Hohenzollernów<sup>83</sup> i jaskrawo kolorowanymi arkuszami żołnierzy pruskich.

Przed nami las po obu stronach drogi mieni się odcieniami zieleni.

Chcę wreszcie być sam, biorę rewolwer i idę naprzód. Po chwili słyszę tupot pospiesznych kroków, odwracam się: to poczciwy, dobry ks. Anzelm, który dysząc ciężko, mówi z przerwami:

— Oddaj pan rewolwer... oto laska kochanego pana, to lepsza broń na węża... oddaj pan... albo lepiej ja pójde z panem, trzymaj pan rewolwer, a ja laskę, łatwiej się obronimy.

<sup>77</sup>*Sodoma i Gomora* — biblijne miasta będące symbolami grzechu i zepsucia, zniszczone przez Boga deszczem ognia i siarki. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*chudoba* (gw.) — zwierzęta stanowiące dobytek gospodarski, głównie bydło i konie. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*kiej* (gw.) — gdy, kiedy. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*imac się czegoś* (daw., gw.) — zabierać się do czegoś, brać się za coś. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*Ilex paraguensis* (lac., bot.) — ostrokrzew paragwajski; jego potoczna hiszpańska nazwa to *yerba mate*, a portugalska *erva-mate*. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*popas* — postój w czasie podróży w celu nakarmienia koni i odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Hohenzollernowie* — niemiecka dynastia, której przedstawiciele panowali w krajach niemieckich (m.in. w Brandenburgii i w Prusach), jako cesarze niemieccy (1871–1918) oraz w Rumunii (1869–1947). [przypis edytorski]

— Wróćmy chyba do fury; tam będzie najbezpieczniej.  
— To samo chciałem powiedzieć; wracajmy, o! bo z węzami nie ma żartów, to chytry gad.

Usiedliśmy, jedziemy dalej drogą niemożliwych wybojów, w których cuchnące błoto sięga koniom po tebinki<sup>84</sup>, wóz piszczy, słania się, trzeszczy.

— Niech się ta ksiądz dobrodziej nie boi, nie wywróć; albo mi to pierwszy raz jechać?

— U nas w Texas są doskonałe drogi, nie takie okropne.

— Ja do takiej z maleńkości przywykły, akurat od mojej wsi do Włocławka była taka droga, ino mosty gorsze.

— To wy spod Włocławka?

— Dlaczegoż by nie? — westchnął pełną piersią, zaciął konie i zwrócił się do mnie:

— A pan z Polski? To może znajomy w Dębnikach?

— Słyszałem...

— Czasem, jak człowiek wspomni, to ino zęby zaciska i aż ręce świerzbią na tych Brazyluchów, co lud zmanili<sup>85</sup> tutaj, w te puszcze.

— To wróćcie do nas.

Spojrzał, zaśmiały mu się oczy, potem westchnął i rzekł półgłosem:

— Już ja niedopasowany... Hej, siwy! Wio, kary!

— Więc nie chcecie wrócić? — dopytywał się ksiądz.

— Chcę, nie chcę? Albo to jedno człowiek chce, a jak nie może, to i nie poradzi. Już ja tam niedopasowany.

— Jak wam tu dobrze, to zostańcie — doradzał ksiądz.

— Iii... źle by nie było, aby tylko był jaki rząd a porządek: masz recht<sup>86</sup>, rób sobie sam sprawiedliwość, a nie masz go, to i tak nic ci nikt nie zrobi, abyś miał fakę (*faca de mato* po portug.: nóż do lasu, kordelas) — i uderzył po długim nożu w pochwie, zatkniętym za pasem.

— Ludzie powinni żyć w zgodzie i miłości chrześcijańskiej — zaczął ksiądz tonem kaznodziei.

— Niby to tak, ale z Brazyluchami inaczej.

— Od tego jest kościół, a jakże u was z parafią?

Spojrzał trochę niedowierzająco, trochę ironicznie na księdza, mówiąc:

— A przyszedł ci tu do nas niby ksiądz, czysto wygolony, jak dobrodziej, pobożny, przykładny, a gadał tak, że zaraz ujął wszystkie baby...

— I co?

— Ano, siedzi w parafii, bierze na msze święte, spowiada, daje śluby, wszystko przykładnie, aż tu mówią ludzie... Wio, siwy! Ten bestia zawsze leniwy!

— Cóż mówią ludzie?

— Mówią, że to nie jest nasz ksiądz, ale taki obieżyświat, pono<sup>87</sup> w Ameryce wyświęcony.

Ksiądz Anzelm drgnął, przybladł i zaczął gorliwie:

— I w Stanach Zjednoczonych są zacni biskupi i księża, prawdziwi katolicy... A jak on się nazywał?

— Ksiądz Pilszak... Wymanił on od ludzi sporo milrejsów, aż go biskup wypędził i dał nam naszego, sprawiedliwego księdza. Co prawda, nie chciały baby puścić tamtego, a temu odgrażały, ale poradziło się babom i jest spokój.

W rzeczywistości ksiądz Pilszak, należąc do kościoła niezależnego, objął w kwietniu 1899 roku Lucenę, rozkazu biskupa opuszczenia parafii nie chciał usłuchać, a przysłanych wysłanników, trzech księży, kolonistów w obronie swej niezależności parafialnej przyjęli zbrojnie i nie dopuścili do kościoła; wówczas biskup, korzystając z bytności w Kurytybie ks. Cezarego Wyszyńskiego z Królestwa, wysłał go w listopadzie 1899 r. do usunięcia ks. Pilszaka i objęcia parafii.

<sup>84</sup>tebinki a. tebenki (daw.) — skórzane frędzle i inne ozdoby zwieszające się z siodła; pot.: pośladki. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>zmanić (daw.) — zmamić, zwieść fałszywymi pozorami, oszukać. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>recht (niem.) — słuszność, prawo. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>pono (daw., gw.) — ponoć, podobno. [przypis edytorski]



W mieście Rio Negro administracja wojskowo-policyjna ofiarowała księdzu Wyszyńskiemu pomoc swoją, której nie przyjął, mówiąc:

— Polski ksiądz do polskiego ludu idzie z krzyżem.

I istotnie wystarczyło jedno przemówienie, aby koloniści sami usunęli wdziercę i oddali klucze ks. Wyszyńskiemu.

Jest to jeden i jedyny z księży polskich w Paranie, przed którym uchyli się czoło z szacunkiem szczerym; inni są aż nadto jaskrawo grzesznymi ludźmi, a parafianie, od których jedynie zależy obsadzanie probostw, znoszą ich błędy z szemraniem, ale znoszą, bo nie ma innych.

Naprawdę nie wiem i nie rozumiem powodu, dlaczego i w jakim celu tak pewne gazety, jak i niektórzy podróżnicy rozpisują się szeroko i robią reklamę tutejszej rzekomo inteligencji w Paranie. Poznałem mniej więcej wszystkie osoby wymienione w książkach; prócz kilku pracowników na chleb reszta przy najlepszej chęci, przy bardzo skromnych wymaganiach, za inteligencję nie może uchodzić.

Jedną, jedyną prawdziwą inteligencją, z którą rachować się należy i trzeba, są tutejsi koloniści-chłopi. Nadmierną pracą dążą do utrwalenia rozwoju i bytu materialnego, czują, wbrew pewnym ludziom i agitatorom socjalistycznym, swą odrębność narodową, pragną szkół i kształcenia praktycznego, bez oglądania się na pomoc czyjąkolwiek, a przede wszystkim wierzą w siebie i w swoją przyszłość.

## W LUCENIE I W POLONII

Lucena, miasteczko w przyszłości, prócz posterunku policji posiada kilka ładnych domków niemieckich i włoskich, hotel polski z wendą i dosyć małych dworców kolonistów polskich; od niej ciągną się drogi w różnych kierunkach, wiodące do poszczególnych grup kolonii. Takich grup jest czternaście, istnieje tysiąc działów, każdy mniej więcej od 25 hektarów (hektar równa się 1,786 mrg. nowop.<sup>88</sup>). Wzdłuż kilometra drogi osadza się z reguły czterech z jednej, czterech z drugiej strony, z odpowiednią ilością gruntu; stąd wielkie odległości od centralnego punktu, dochodzące 40 kilometrów.

O ile takie odosobnienie działów wpływa korzystnie na możliwość dowolnego rozwoju gospodarki polnej, usuwa nieporozumienia i kształci samopomoc, o tyle znów wzmacnia i tak już silny popęd indywidualizacji, a dzieciom utrudnia naukę szkolną, tak że najwłaściwszą formą bybyły pensjonaty półtygodniowe, które przy nadzwyczajnej taniości produktów spożywczych pociągnęłyby koszt mniejszy aniżeli wysyłanie dziecka o dziesiątki kilometrów.

Na wynajętym koniu puściłem się do kolonii Polonia, o jakie pięć kilometrów od Luceny, gdzie mieszka kolonista Jan, który nas przywiózł. Po drodze, w głębi — domy, w rodzaju dworców szlachty zagonowej<sup>89</sup>, ogrodzone, a tuż grządki warzyw i kartofli. Gdy otwierałem wrota, wybiegł gospodarz, twarz ogorzała, przyjemna, rozjaśniła się uśmiechem.

— Niechże Bóg da zdrowie, że pan przyjechali! — wołał, ściskając rękę serdecznie.

Dom ani gorszy, ani lepszy od innych, może tylko staranniej utrzymany. Z lewej strony przed domem palma, z prawej, za sztachetkami, wysoki, osypany kwiatami oleander, dalej drzewo mirtowe i sad z fig, pomarańcz, czereśni (portug. *cereja*) i śliwek (portug. *ameixas*), ani tak smacznych, ani przyjemnych, jak nasze; w głębi za domem sosny brazylijskie.

Wyszła i gospodyni, matka czworga dzieci, zapraszając do domu.

Z sieni, idącej na przestrzał, z lewej strony mała kuchenka, w której nikt nie sypia, obok pokój do przyjęć; naprzeciw kuchni z prawej — sypialnia, a dalej warsztat gospodarski.

W świetlicy krzesła wypłatane i gładkie, z foremną, drewnianą kanapką, stolik nakryty serwetą, na ścianie Matka Boska Częstochowska, św. Anna i św. Józef, jakieś zblakłe fotografie i lustro.

Gospodyni zakrzętnęła się i wniosła po chwili jajecznicę, masło, twaróg i chleb żytni,

<sup>88</sup>mrg. nowop. — skrót od: morgan nowopolska (dawna jednostka powierzchni gruntu, równa 0,56 ha). [przypis edytorski]

<sup>89</sup>szlachta zagonowa — drobna, uboga szlachta, utrzymująca się z własnej pracy na małym kawałku ziemi. [przypis edytorski]

Emigrant

Gospodyni

wszystko na białych talerzach.

— To już rzadkość w Brazylii masło i twaróg! Poznać doskonałą gospodynię.

— Iii, jaka ja tam gospodyni, chowają się krowy, to i jest — mówi zadowolona.

— Nie ma co i gadać, o lepszą trudno — chwali się mąż żoną.

Dzieciaki czysto ubrane, umyte.

— A gdzie Józek? — pyta ojciec. — Idź no, Walek.

Wszedł wysoki, trochę niezgrabny wyrostek.

— To mój syn.

— Ależ wyrósł! Ileż ma lat?

— Będzie piętnasty. Na słońcu, to i rośnie. Ten jeden z kraju.

— Miałabym ich ośmioro, ale czworo mi zmarło, jedno na morzu, a troje w tej nędzy, cośmy przeszli — żali się matka. — Reszta to tutejsza.

— Ale zawsze Polaki — dodaje ojciec.

Wyszliśmy.

— Ładną macie palmę, gospodarzu.

— Drzewo nicpotem<sup>90</sup>, lepsza nasza wierzba, ale aby było co wziąć na Palmową<sup>91</sup>, to i rośnie sobie.

Oglądam gospodarzkę. Stajenka mała nie pomieści koni i bydła.

— To tylko dla źrebiąt i cielaków — objaśnia gospodarz — bo całe gado (portug. *gado*, bydło) przez rok na kiempie (portug. *campo*, pole, pastwisko), a jak koniom w drogę, to dam milii i jazda!

Krowy wielkie z małymi wymionami pasą się w zagrodzeniu.

— Na tu, siwucha! — woła gospodyni. — Miałam, panie, kłopotu co niemiara, nim z tych dzikusów zrobiłam krowy. Teraz to jeszcze przypuszczam cielęta, ale Pan Bóg da doczekać, to odłączę, aby było jak u nas.

Zwrot: „jak u nas” jest ciągle na ustach kolonistów. „U nas” zawiera wszystko dobre, porządne, uczciwe — to cała cywilizacja, którą wyniósł chłop z kraju, to cała przeszłość, którą przeżył, która przez morza i lądy wydaje mu się czysta, jasna, brylantowa.

Idziemy w pole: żyto ładne, wysokie.

— Jak przyszliliśmy, żadnym dziwem bywało sto dwadzieścia ziarn, a dzisiaj da sześćdziesiąt, może więcej, a może mniej.

Obszerny grunt, cały pokryty świeżo ściętymi krzami, z ledwie wędniejącymi liśćmi; gdzieś leży spróchniały pień grubego drzewa.

— To „rosa”... jak przeschnie potęga (portug. *putinga*, gatunek trzciny drzewiastej), podpalę. Rola pod milię byłaby dawno gotowa, ale deszcze przepadają.

Portugalskie *roça*, uprawianie gruntu przez trzebież, rodzaj ugoru trzy do czteroletniego, bywa najpowszechniej używane przez kolonistów, którzy po spaleniu, poruszywszy lekko motyką, sadzą w otwory, zrobione kołkiem, po kilka ziarn kukurydzy.

— Ileż wam daje milia?

— Bywa po sto pięćdziesiąt ziarn, jak pod jaki rok. Aby nie te małpy, bo to takie zmyślnie nikię<sup>92</sup> chłopcy psotniki! Nawiążą to sobie snop milii i hyc w las, a stróżliwe... no i te ptaszyska zielone — wskazał papużkę — i te psują, ale zawsze ostanie<sup>93</sup> dla nas dosyć, aby dopilnować.

— Może byloby lepiej uprawiać z roku na rok pole, a dodawać popiołu, kiedy po spaleniu rodzi.

— Abo ja wiem, czy z popiołem urodzi? — uśmiechnął się. — A gruntu i tak dosyć.

— Ale jak syn dorośnie i ożeni się?

— Zrobię jak inni: wezmę mu nowy szakier, niech pracuje.

Chłop nasz przywiózł do Brazylii umiejętność gospodarczą, jaką posiadał w kraju. Tu, bez względu na głębię i stosunki atmosferyczne, wciska swoje zboża i warzywa. Nikt chemicznie nie zbadał tej nowej roli, nikt mu nie poradził, nie pomógł, a że z wyjątkiem

<sup>90</sup>*nicpotem* (daw.) — do niczego; nic nie wart. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Palmowa* — Niedziela Palmowa, święto chrześcijańskie przypadające 7 dni przed Wielkanocą, obchodzone na pamiątkę przybycia Jezusa do Jerozolimy i rozpoczynające Wielki Tydzień, związane z tradycją wykonywania palm wielkanocnych. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*nikiej* (gw.) — niczym, tak jak. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*ostać* (gw.) — zostać. [przypis edytorski]

batatów<sup>94</sup>, nic tu nie znalazł nowego, nic też sobie nie przyswoił. Chwila, gdy znajdzie stosowne do klimatu i gruntu produkty, będzie przełomowa w gospodarstwie Parany; dziś gospodaruje on tu i nad morzem (kolonia Capivary, pod Santos<sup>95</sup>, klimat tropikalny), jak mu każe tradycja, a mając pod dostatkiem ziemi, ugoruje, marnując dużo zabiegów, pracy i czasu.

Już i południe, słońce pali, z ziemi bije parne gorąco, owady lecą z bzykiem, piękne motyle fruują; ale gorąco nieznośne, na które mój gospodarz, w grubej kamizeli, spodniach, podtrzymywanych pasem, w butach wysokich, wcale nie zważa ani narzeka.

Jak wielki chrabaszcz zabrzączał nad kwiatem koliber; trzepocąc nieustannie skrzydełkami, zaglądał w ten i ów kwiat. Stałem.

— To burczak, panie, drobną ptaszyna. Jeden miał gniazdko w szopie, na włosku to wisiało.

— Dzieci nie zdjęły?

— Zakazałem... Widzi pan, jak zagłada w każdy kwiatek i zjada muchy: takie to małe a przemyślne!

Idziemy dalej.

— Ach, jakie gorąco! — narzekam.

— Teraz to nic. Najgorszy u nas czas to marzec i kwiecień: wyspy (portug. *vespa*, osa, mucha zjadliwa) ćma<sup>96</sup>, chrobaków moc... a wtedy i żniwa.

— Jakich chrobaków?

— To nie byle jakie chrobaki — śmieje się gospodarz — to gady; jak utnie, to tylko wypalić.

— I często kąsają?

— Jak nadepnąć, to i ugryzie, a niedawno jednego Brazylucha ciapnął w twarz, i umarł.

— Nachylił się? Spał?

— Nie, ino gad był na drzewie, a on go potracił.

— A zwierzyny w lasach dosyć?

— At, co ta za zwierzyna tutaj: świnie i kociska! Ale spyta pan Grzeli, ten rozpowie, bo temu las zawsze pachnie — i wskazał ręką jeźdźca, który krótkim galopem (to zwykły chód tutejszych koni) zbliżał się do domu.

Wkrótce podała gospodyni obiad; była kura gotowana, czarna fasola, nazywana z portugalską feizonem (*feijão*), z mięsem suszonym, zwanym przez kolonistów siarką (port. *charque*, mięso wędzone i osolone). Był w gościnie Grzela, a później przybyli konno trzej inni osadnicy, wszyscy uzbrojeni w faki i pistolety. Ludzie z poczuciem samodzielności, z ruchami przyjemnymi, ubrani po miejsku, czysto i dostatnio.

— Cóż tak zbrojno? W biały dzień?

— Kto ta wie, co kogo może spotkać: albo buger zajdzie z boku, albo borowy zacznie zwadę.

— No i biszo się trafi — zaśmiał się Grzela.

— Co to jest biszo?

— Tak Brazyluchy nazywają zwierza.

— Po cóż wyraz brazylijski?

— Już ja to panu wytłumaczę — pospieszył wysoki, chudy, żyłasty blondyn z wąsem zawieszonym.

— Gadajcie, Adamie — zachęcił gospodarz.

— U nas, panie, zwierz to wilk, lis, sarna, dzik, ale tu takich nie poświci<sup>97</sup>. Ot, kociska, puma bojaźliwa, tygr, co go zwą jaguarem, żbik jak nasz wielki kot i małe dziki...

— A małpy, a ryjowce, a kapibary<sup>98</sup> — przerwał mu Grzela.

<sup>94</sup>*batat* — roślina uprawiana w strefie międzyzwrotnikowej, posiadająca jadalne, mączyste bulwy, nazywana też słodkim ziemniakiem. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*Santos* — miasto w pld.-wsch. Brazylii, w stanie São Paulo, nad Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>*ćma* (daw.) — tu: chmara, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*nie poświci* (gw.) — nie poświeci, tj. nie ma ani śladu czegoś lub kogoś. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*kapibara* (biol.) — rodzaj lądowo-wodnych gryzoni mieszkających w Ameryce Płd.; kapibara wielka jest największym z żyjących gryzoni (do 65 kg). [przypis edytorski]

— Iii... mały to bez mała człowiek, ino, że leśny, z ogonem; no, a te szcurzyska, co z nich komu? — odparł lekceważąco.

— Po cóż biszo?

— Bo u nich biszo (portug. *bicha*, robak, wąż, zdrobniale każde zwierzę) to gad, zwierz, wszystko, co żyje w lesie.

— A może panu herwy? — spytała gospodyni.

Podziękowałem, nie znajdując w niej nic przyjemnego.

— E, daj spokój z herwą! — dodał mąż. — Lepsza kawa, bo herwa to nie przymierzając nasza woda ze stawu, tyle co osłodzona.

Wszyscy obecni zaśmiali się, przytakując tym słowom.

Posypały się pytania o kraju, o naszych urodzajach, pogodzie, o wsi, miastach, kolejach.

— No, a jakże z podatkami, z wojskiem? — dopytują, przeszedłszy bowiem sami nadzwyczajne zmiany w ciągu kilku lat, przypuszczają, że wszystko inne musiało się także zmienić.

— Podatki są, jak były, a do wojska biorą rekruta.

— To tutaj lepiej; nie znamy już tego.

— Aby tylko był rząd i porządek!

To żądanie stawiają wszyscy koloniści, jako ludzie uspołecznieni.

— Więc wam tu dobrze?

— Hm... teraz to nieźle, Bogu dzięki, ale zobacz pan cmentarz, spytaj pan, ilu zginęło, zmarniało, przepadło: to bez mała co dziesiąty z nas żyje tutaj.

— A pan tu na robotę czy z fachem?

Gdy się dowiedzieli, że wracam, po krótkim zdziwieniu widać było zazdrość, a potem nauki i przestrogi.

— A niech pan ludziom rozpowie, że w Brazylii ciężko.

— A bez grosza niech nikt nie jedzie, bo sparszywieje i zginie.

— Teraz gruntu darmo nie dają!

— I żadnej roboty na przeżywienie.

Pijemy piwo, warzone w domu, przybyli nowi goście i rozmowa schodzi na politykę tutejszą.

— Co mi tam te brazylijskie wybory! Niech bierze ten albo ów pensję z kasy, ale niech drogi naprawi, mosty poładzi...

— Słyszałem w mieście — odzywa się jeden — że jak wybierzemy doktora (przywódca maragatów, dr Pereira), to zmaże nam cały dług za ziemię.

— To samo mówi i adwokat! (W. Machado, przywódca pikapauów) — zaśmiał się drugi.

— Ot, puste gadanie: i tak nie płacimy.

— Jak to, nic nie płacicie? — spytałem, wiedząc, że kolonista powinien rządowi zapłacić za ziemię, dom i zapomogę, razem 250 milrejsów w sześciu ratach rocznych.

— Z początku to i niektóry zapłacił, ale jakeśmy się zwiedzili, co to za rząd, nikt nie płaci.

— A jak się upomni, jest na egzekutora sposób! — i ze śmiechem podniósł pięść w górę.

Już ściemniało, zdecydowałem się zostać na noc, aby rankiem pójść z Grzelą w las dziewiczy.

Na krótko przed rozstaniem wyprowadził mnie Adam z pokoju, by pomówić ze mną na osobności.

Wieczór był bezksiężycowy, tym jaśniej błyszczał na niebie Krzyż Południowy i Trójkąt. Ze wszech stron słychać było piewiki (cykady), wydzwaniające jednostajnie, a w zaroślach, na krzacz<sup>99</sup>, wokoło przefruwały świetliki (*Elateridae*), niektóre tak jasne, że rzucały odbłask na bliższe przedmioty.

— Śliczny wieczór — rzekłem, zachwycony nowym wrażeniem i widokiem.

— Ale nie nasz — westchnął Adam.

— O czymże mieliśmy mówić? — spytałem po chwili.

<sup>99</sup>kierz (daw., Msc. lm: krzacz) — krzew. [przypis edytorski]

— Ja, panie, szlachcic z Łomżyńskiego, trudno było wyżyć z rodziną na czterech morgach, przyjechałem do Brazylii... Co pan gadał, to dla nich, aby chłopcy rozumieli; a co mi pan teraz powie? Co tam u nas?

— ...

— Bo widzi mi się, że pan coś ukrywa; bo i po co było panu przyjeżdżać aż do Brazylii, takie morza, taki kraj świata? Jeśli pan po ludzi przyjechał, ja, panie, zaraz gotów wrócić.

— Istotnie, nie rozumiem.

Odciągnął mnie spod domu aż pod palmę i szepnął:

— Powiedz pan prawdę. Jeśli u nas zaczęła się już ruchawka, zaraz jadę z synami, bo co Polska, to Polska!

## W DZIEWICZYM LESIE

Na pierwsze wejście przedstawia las dziewiczy bezładny, szalony swym bogactwem i rozmaitością chaos krzewów, roślin, zieloności, barwnych liści i jaskrawych kwiatów. Robi on wrażenie olbrzymiej fali wybijanej roślinności, zwartej, skłębionej, splątanej, dążącej z niesłychaną siłą do światła, do słońca.

A ponad tą masą zieleni, purpurowych, złotych, pomarańczowych, fioletowych, błyszczących, jakby lakierowanych i matowych liści przeróżnych kształtów, wśród strzelających kwiatów białych, różowych, amarantowych, błękitnych, złotych wznoszą się w górę, jak maszty zatopionego okrętu, rozpaczliwie ku niebu wyciągnięte, trupie, obdarte, białawe konary olbrzyma-drzewa. Zginął w śmiertelnych uściskach lian, pyszniących się w jaskrawobiałym słońcu barwnymi kwiatami, a z każdego górnego załomu pnia krwawią się koronami kwiatów, najczęściej purpurowych, pasożyty.

Miejscami, gdzie padł niedawno zmurszały olbrzym leśny, ciągnąc za sobą ku ziemi wrogów, którzy go zgładzili, tworzy się szczelina, rodzaj okienka, pozwalającego spojrzeć w tę puszcę leśną. Zrazu jaśniejszy, głębiej ciemny mrok panuje, chociaż wierzchołki iskrzą się w słońcu. Tam widzi oko jakieś wiotkie pnie, ciemnozielone krzewy, girlandy zielone, poprzerzucane z drzewa na drzewo, i jak węże zwieszające się gałęzie, czy olbrzymie ssawki lian.

W taki to las wybrałem się wczesnym rankiem z młodym kolonistą Grzelą, śmigłym, silnym, zwinnym górale z Nowego Sącza, który od dziecka, bo od dziesiątego roku życia żył się już z tym lasem i jest namiętym myśliwym.

Wąską ścieżyną weszliśmy w las, który w niczym nie przypomina naszych borów; ani szumu, orzeźwienia, zapachu; wilgoć tylko i woń rozkładających się trupów roślinnych; światło zielonkawe, nieprzyjemne, i wokół niedające się przejrzeć ściany roślin i krzewów.

O trzy, cztery kroki kończy się siła oka i tak jest przed nami, za nami i z boków. Cicho, słychać szelest rozsuwanych gałęzi, trzask suchego drzewa pod nogą i tylko czasem gdzieś niewidzialny, bo siedzący nad zielonym sklepieniem, zaświergoce ptak, i znów cisza.

Nagle gdzieś w oddali rozległ się krzyk, gardłowy wrzask: „mhii... huuu”, z wciąganiem w siebie drugiej części, a powtórzyły go liczne głosy.

Grzela stanął.

— To małpy wrzeszczą... może się uda... Pan pójdą tą pikadą (portug. *picado*, ścieżka), a ja bokiem, ino ostrożnie, bo psie pary okrutnie stróżliwe.

— Iść prosto czy skręcić?

— Jedną pikadą, i tej pan pilnuj. A bacz pan, aby gada nie nadepnąć, bo schwyci szelma; puść go pan spokojnie w las.

— A jak małpy podchodzić?

— Mądre są bestie, stawiają straż, a i na zwiady wysyłają, ale póki wrzeszczą, można iść śmiało.

— Gdzie się spotkamy?

— Już ja pana znajdę... a pikadą zawsze można wrócić.

Z pewnym wahaniem poszedłem ścieżką, po chwili dopadł mnie Grzela:

— A pilnuj pan dobrze: bywa, że i kocisko podchodzi małpy... hej, gdyby go ustrzelić! — zaśmiały mu się oczy.

Las

Las

Zostałem sam na wąskiej, krętej ścieżynce, ledwie znacznej<sup>100</sup> po krótszej, pomiętej roślinności. Posłuszny wskazówce, gdy małpy przestały wrzeszczeć, stanąłem. Spojrzałem wokół: co za przepych, bogactwo, rozrzutność form i barw i jaka szalona, przerażająca swą bezwzględnością walka o byt, o każdą piędź ziemi, o każdy promyczek światła, jak wyzyskana każda podpora! Tuż przy mnie zdobi swój wierzchołek, na wzór palm, drzewiasta paproć, obok osypana kwiatami barwnymi wysoka fuksja, głębiej w drzewo urosłe rozłożyste mirty, bogate rycynusy, wspaniałe oleandry i tysiące roślin, kwiatów, prawie wszystkie bez zapachu, bo tu, w tym słońcu, zaledwie cień zapachu posiadają róże i magnolie, reszta oddała swą duszę gorącym promieniom słońca.

Drzewo

Pod nogą mam drzewo do dwunastu cali<sup>101</sup> obwodu, z korą splekaną, szarą; śledzę je i o kilka kroków ujrzałem je owinięte o wspaniałą pień cedru: to liana, przez kolonistów powozem zwana, już dosięgła połowy pnia żywego i spuszcza na dół mocne, chociaż wiotkie ramiona, czyhające, by oplątać nową ofiarę.

Czasami wiatr, krzew pomoże do schwycenia innego drzewa albo też, dosięgnąwszy ziemi, pełza, posuwając się cieniutkimi korzonkami.

Wobec tej rozhuwanej roślinności i walki na śmierć i życie czuje się człowiek mały i prawie bezsilny, a jednak polski chłop nie uląkł się ani dziewiczego lasu, ani tego wiecznie odnawiającego się wroga, zagłuszającego jego posiewy. Wściekłą pracą zdobywa kawałek lasu, broni go przeciw Indianom, robactwu, małpom, ptakom, i nieustannemu naporowi dawnych panów tej ziemi, leśnym bracingom, tacuarom, putingom i jak się tam nazywa ten plebs poprzedzający wspaniałe drzewa lasu dziewiczego. Zdobył tę ziemię i trzyma całą siłą mięśni i mózgu.

Znów małpy wrzasnęły, idę dalej i coraz bardziej jest mi obco, przykro, niemiło; wokół siebie czuję zdradliwe, wrogie siły, które mnie zdepcą, zduszą, zmiażdżą. Nasłuchuję rozpaczliwego wrzasku małp, z przygłuchym, wciągającym wyciem: „huuu!...” i ogarnia mnie jakiś lęk, że do tej natury, do tego lasu, do tych małp wkradam się bezprawnie, że te wszystkie drzewa, liście, kwiaty patrzą na mnie i szeptem pytają: skąd, po co, dlaczego tu przyszedłem?

Stanąłem... Gdzieś w górze skrzek, potem jednostajny świegot ptaka, żadnego śpiewu, żadnej melodii, gdyż z wyjątkiem gatunku drozda i kosa wszystkie inne ptaki świegocą w rodzaju naszego trznadla. Było to trochę widniejsze miejsce i co za wściekła walka roślin: trzciny, bambusy, palmy, fuksje, embuje<sup>102</sup>, fikusy, paprocie spleątane, wyrwywają sobie już nie ziemię, lecz powietrze.

Ptak

Rośliny, Walka

Patrzałem z przykrością na tę niemą walkę na śmierć i życie, w której słaby pada, a mocny ginie zdradziecko w uściskach pijawek lian, pięknych orchidei, błyszczących, ananasowatych pasożytów. I porwała mnie niewysłowiona tęsknota do pól, do zagonów, do „srebrnego żyta, złotej pszenicy”<sup>103</sup>, do słońca, do swoich. Dokuczały mi kształty, drażniły kwiaty, bolał przepych... zapragnąłem słońca i ziemi, naszej ziemi!

Padł strzał Grzeli... małpy wrzasnęły i umilkły.

— Był kot — mówił zdyszany — ale nie dostał w komorę i śmignął w bór... nikiel cielak dobry... szkoda, okruteczna szkoda...

— Wracajmy.

— Już?... Pójdźmy nad wodę, może co ustrzelimy... wstyd z pustką wracać. Rozpowie pan tam, u nas, i śmiać się będą.

Dziwnie smutna, przykra woda, podobna do oka pokrytego czarną kataraktą<sup>104</sup>, posępna, czarna, odbija ciche drzewa nadbrzeżne, wybujałą roślinność i ciemne sklepienie z lian niedopuszczających tu słońca.

Woda

Gdzieś na skraju wrzask dziecka małego, męczonego przez oprawców: to głos żaby, a tuż odezwały się młoty w kuźni, huczące, z przytłumionym dźwiękiem: to bracia i siostry dziecka rzewnie płacącego.

<sup>100</sup>znaczny (daw.) — wyróżniający się, widoczny. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>cal — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>embuja a. imbuia (port.) — *Ocotea porosa*, gatunek drzewa rosnącego w pld. Brazylii, zwany także orzechem brazylijskim, ponieważ jego twarde drewno przypomina drewno orzechowe. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>srebrnego żyta, złotej pszenicy — odniesienie do fragmentu poematu Mickiewicza *Pan Tadeusz*: „Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, / Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem”. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>katarakta — zaćma, zmętnienie soczewki ocznej. [przypis edytorski]

Stało się zadość ambicji Grzeli: zabił szarą czapłę i wielkiego nura.  
Wyszliśmy z lasu dziewiczego... Oddycham w słońcu!

## NA KOLONIACH

Kolej z Rio Negro do Kurytyby stoi czas dłuższy na stacji Serinha. Na peronie tłum ludzi, bo to czas świąteczny przed Bożym Narodzeniem. Włosi wrzaskliwi, rozmachani; Brazylijczycy z miną panów; kabokle w patynkach, boso, śmiali, ogorzali, uzbrojeni nożem i rewolwerem, z nahajką skórzaną w ręku, krzyczą głośno, owinięci w palie, rodzaj szala krojem i sposobem wkładania przypominający ornat; kilku kolonistów. W tłumie spostrzegam młodego, przyjemnego blondyna.

— Pan Polak? — pytam.

— Poznał mnie pan? Poznał, żem Polak? — woła ucieszony. — I po czym?

— Różni się pan od nich — wskazałem na tłum.

— I ja tak myślę — odpowiada z dumą.

— Skądże pan jedzie?

— Jadę do domu, do Abranches (kolonia pod Kurytybą), z Rio Negro. Tam służę przy kolei; jak oni nazywają, jestem *capataz*, a u nas werkmajster.

— Ależ licha kolej!

— Cóż dziwnego? — odpowiada z uśmiechem lekceważenia — W Brazylii wszystko bez porządku, nie tak jak u nas.

— A pan dawno przybył?

— Ja tu urodzony. Starszy ostał na gruncie, a nas czterech we fachu.

— To pan tutejszy?

— Nie, panie, ja Polak, tylko tu urodzony.

W Kurytybie czekała mnie niespodzianka, nadzwyczaj miła i przyjemna, gdyż zaledenie rozgościłem się w tak zwanym „Grande Hotel”, pierwszorzędnym, ale też brudnym i pełnym *barratas*, małych jaszczureczek, tysiąconogów i moskitów — gdy zjawili się w progu dwaj nie tylko Europejczycy, nie tylko Polacy, lecz i Warszawiacy: panowie Bielecki Leon i Dmowski Roman.

Kto nigdy nie był na dalekiej obczyźnie, wśród obcych duchem, cywilizacją, temperamentem ludzi, kto nie widział wokoło siebie natury odmiennej, niezrozumiałej i przynębiającej swym bogactwem barw i form, ten nie pojmuje, jaka ciężka, nieprzejeđnana, bliska obłądu tęsknota, jaki głęboki smutek bez słów i skargi, jakie wrażenie pustki i osamotnienia, niemocy i zapomnienia przez wszystko i wszystkich opanowuje człowieka.

I w takiej właśnie chwili przypadek stał się wybawieniem i pociechą: obaj przynosili z sobą Warszawę, pola, śniegi, słońce i mowę, mowę polską.

Naturalnie projektujemy wspólne zwiedzanie pobliskich kolonii polskich, a na uczczenie dnia wspólny obiad, który ma przygotować Barczak, gospodarz Towarzystwa „Zgoda i Jedność”, mały, czarniawy, były kolonista.

— My, Polacy, jadamy zawsze barszcz, więc, panie Barczak, barszcz być musi — rozporządza p. Bielecki.

— A następnie?

— My, Anglicy — odzywa się pan Dmowski tonem gentlemana, nieznoszącego opozycji — jadamy mięso, więc, panie Barczak, mięso być musi.

— A do mięsa?

— My, Francuzi, jadamy sałatę, więc, panie Barczak, sałata być musi — uzupełniam obiad.

Barczak namyśla się i mówi z pewnym wahaniem:

— A jeśli czego zabraknie? Bo ja dałbym, ale nie wiem, czy dostanę...

— Nie ma u nas zwyczaju więcej dawać, niż się ma — decyduje p. Bielecki.

— Tak to co innego — uśmiecha się gospodarz i znika.

W pokoju, ustrojonym kwiatami róż, werben, begonii, oleandrów i storczyków, przy palących promieniach słońca, gdyż w cieniu jest 32 °R<sup>105</sup>, jemy wigilię, a mówimy i ma-

<sup>105</sup>32 °R — autor używa tutaj dawnej skali termometrycznej wprowadzonej w 1731 przez francuskiego fizyka Réaumura i używanej w Europie Środkowej jeszcze na początku XX w.; 32 °Ré odpowiada 40 °C. [przypis edytorski]

rzymy o naszych bliskich, tam, na północy, wśród śniegu, mrozu, pod zimnym, mglistym, chmurnym słońcem.

Wyjeżdżamy na kolonie konno, gdyż drogi są w stanie oplakany. P. Dmowski, jako sokół lwowski, na siwym, ładnym koniu, który jednak najdalej na dwudziestym kilometrze rozpięra się i bezwzględnie żąda odpoczynku; pan Bielecki ze względu na urząd kwatermistrza jechał na doskonałym mule, którego pojętność, ostrożność i wytrzymałość podziwiamy przez całą drogę.

— Czy wszystko dobrze? — pyta pan Dmowski tonem wątpliwości i współczucia.

— Bardzo dobrze — odpowiadamy niepewnym głosem.

Jedziemy.

Spotykamy ładnego blond chłopca, bawiącego się z Murzynkiem.

— Hej, mały! Daleko do Orleans?

— E, nie, przez kiempę (step), las, pole i zaraz kościół.

Murzynek w uśmiechu pokazuje białe zęby.

— Nauczę tę czarną małpę po polsku!

— Już umieć! — wykrzykuje wesoło Murzynek.

Na stepie falistym, porośniętym ostrą, kupkowaną trawą, drzewiastymi roślinami, pasie się stado krów pod dozorem dwojga dzieci. Dziewczynka nakrywa się od mżącego deszczu jaskrawą chustą matki, a chłopczyna w kapeluszu słomianym, bosy, przepasany krajką, wygwizduje oberka. Polskie dzieci... I gdyby nie sosny brazylijskie, podszyte barwnie kwitnącymi krzewami, gdyby nie krowy wielkie z dziwacznymi rogami, korowód mułów objuczonych, przemykające się sylwetki *cabocłów*, miałyby się złudzenie, że się jest gdzieś w Królestwie... wśród swoich.

Dziecko

Na drodze leśnej co chwila mijają nas wasągi. Dobre konie w lic<sup>106</sup>, w krakowskich lub mazurskich chomątach, a jadą ostro, śmiało, mimo wybojów, korzeni, błota; wesoło, ze śmiechem, śpiewkami, z fantazją, że mimo woli dźwięczy w uszach:

Śpiew

A z góry, z góry,  
Jadą Mazury...

— Jechaliście ojciec do kościoła jak szlachcic.

Spojrzał butnie i rzekł drwiąco:

— Nasz szlachcic jechał ci co prawda do kościoła w cztery konie, ale miały dwa oczy, a my w osiem oczu — dodaje dumnie.

Przed kościołem rojno, tłumno; mężczyźni z miejska ubrani, kobiety przeważnie w barwnych, jaskrawych spódnicach krojem polskim; twarze wesołe, zadowolone, śmiałe; młodzież rośła, doskonale odżywiona, zdrowa; gwar, swoboda, wesołość: zupełnie jak na odpuszczeniu naszym. A gdy w kościele śpiewają: „Gwiazdo morza...” przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, ustrojonym w kwiaty, zdobnym w wota, to można zapomnieć o morzu, Brazylii, Paranie i czuć się u siebie, wśród swoich.

Pomiędzy wotami są okręty „za szczęśliwą podróż”, nóżki, rączki, niemowlęta, ofiarowane Cudownej Maryi Pannie, i są serca ze wzmianką o swoich, o kraju...

— Panowie z kraju?... Bo ja jestem *empregado publico*<sup>107</sup> nad tutejszą szkołą.

Szkoła, Emigrant

— Ile dzieci uczęszcza? — pyta pan Bielecki z przygotowanym jak zawsze notesem i ołówkiem.

— Zwykle trzydzieści, ale bywa i pięćdziesiąt; za dziecko dwa milreisy miesięcznie.

— Czego pan uczy?

— Udzielam sześć razy na tydzień języka brazylijskiego po dwie godziny. Rozumiecie, panowie, jako *empregado publico* uważam tę naukę za najważniejszą.

— A polskiego?

— Codziennie godzinę, to wystarcza.

— Dzieci zdolne?

— Po polsku, to aby im raz pokazać, już i dobrze, ale państwowy, brazylijski ciężko, choć im kładę w głowy jak łopatą, a jako *empregado publico* chcę i muszę uczyć tego języka, bo on im w życiu konieczny.

<sup>106</sup>w lic (daw.) — o zaprzężonych koniach: w lejach. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*empregado publico* (port.) — pracownik publiczny. [przypis edytorski]



— Pan dawno tu nauczycielem?  
 Spojrzał z politowaniem, uśmiechnął się ironicznie i rzekł:  
 — Nauczycielem był tylko Chrystus Pan; ja jestem profesorem.  
 — Pan dawno profesorem? — pyta niezmiészany pan Dmowski.  
 — Już pięć lat oświecam ten naród.  
 U wendysty na razie pusto, on sam stoi poważny, zamyślony, za ladą.  
 — Jakże panu idzie interes? — pyta pan Bielecki z notesem w ręku.  
 — Hm... kaszas, piwo, drobne rzeczy idą jako tako, ale łokciowe<sup>108</sup> jak z kamienia.  
 — I dlaczegoż to?  
 — Moda, panie... Wszystko u bab robi moda — westchnął ciężko, rozkładając ręce na znak bezsilności.  
 — Należałoby się zastosować...  
 — I ja to wiem... Ot, przed rokiem cioteczna żony przywiozła z kraju dwie paki towaru... Panie! W ciągu dwóch dni utargowałem tysiąc dwieście milreisów — opowiada z błyszczącymi oczyma. — Te spódnice, fartuszki, jubki, chustki, to wszystko z mojej wendy... a teraz ani zajrzą do mnie.  
 — Będzie lepiej — mówi pan Dmowski z miną Anglika, którego słowo oznacza czyn.  
 — Towar się sprowadzi i za rok, za półtora, dostanie go pan w Kurytybie.  
 — Daj Boże, daj Boże...  
 Do wendy wszedł kolonista, kupując drobnostki dla dzieci: dziewczyna lat 12, chłopak może 14.  
 — Ojciec, a dzieci chodziły do szkoły?  
 — To się wie, a bez<sup>109</sup> cóż by nie?  
 — I umieją co?  
 — Po polsku to czytać i pisać potrafią, a jakże...  
 — A po brazylijsku?  
 — Hm... to widzi pan tak: chłopak chodził cztery lata do tej szkoły, a jak przyjdzie coniebądź pogadać z Brazyluchem, to ani weź! Niby mój gada, cóż, kiej tamten nie rozumie.  
 — To dziwne, bo przecież był w szkole.  
 — Nasz profesor niby uczy i pilnie, cóż, kiedy bez nijakiego pożytku dla dzieci.  
 Ksiądz proboszcz, ucieszony naszym przybyciem, chwali się kościołem, ładnymi drzwiami, zrobionymi przez kolonistę z motywem tutejszej przyrody, i prosi na obiad.  
 Plebania ładna, wygodna, z ogródkiem pełnym bratków, malw, georginii, gwoździaków, modraków<sup>110</sup>...  
 — Ależ tu ładnie!  
 — Hawok<sup>111</sup> byście zobaczyli mój ogródeczek, aż się serce radowało... a tu, ot i spojrzeć nie ma na co.  
 Po obiedzie ksiądz wziął skrzypce do ręki, śpiewa o „Janosiku”, o „wirchach” i „halach”, a z twarzy i ruchów widać, że go zjada tęsknota do swoich.  
 Przy czarnej kawie weszła i siostra księdza.  
 — Co proszę?... Panowie do nas?... To może i Lwów znacie? — zaśpiewała przeciągle.  
 — Bo dla mnie Lwów, taj daruję wszystko.  
 Tę tęsknotę do swoich, do kraju, mniej lub więcej uzewnętrznioną, spotyka się wszędzie u kolonistów.  
 Natury tutejszej koloniści nie lubią, nie żyli się z nią, wydaje im się wroga, niemiła. Liczne węże, jaszczury, napełniają ich trwogą; dokucza im mnóstwo owadów zjadliwych lub obrzydliwych, jak wielkie karaluchy brazylijskie *barratas*, bardzo liczne i mnożne (*Blatta orientalis*), fruujące, a dochodzące do 7 cm długości; moskity drażniące; *matucos*, gatunek bąków, składających jajeczka pod skórą ukąszonego; szkodliwe mrówki (*Formica cephalotes*); małpy, niszczące zasiewy, i wielkie koty drapieżne.

Emigrant, Szkoła, Nauka

<sup>108</sup>łokciowe towary (przestarz.) — tkaniny, wstążki itp. sprzedawane w sklepiku na łokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądanej przez klienta. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>bez (gw.) — przez, z powodu. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>modrak (reg.) — chaber, bławatek. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>hawok a. *haw* (gw.) — tutaj, tu; w tym miejscu najwyraźniej zamiast *haniok*: tam, daleko. [przypis edytorski]

— Co tu lubić w tej Brazylii?... Aby nie ziemia dobra, to tylko splunąć i uciekać.

Po ogródkach u naszych kolonistów spotyka się niemal wszędzie malwy, bratki, fiołki, modraki, laki i lewkonie, wyrosłe w drzewka, chociaż wokoło mają pysznie ubarwione kwiaty. Jedynie drzewo mirtowe, oleandry i fuksje przyjęły z tutejszej flory.

\*

Wieżie mnie Pikusa, młody, dzielny, wesoły kolonista, wasągiem w lic. Powozi śmiało, z fantazją krakowską, strzela przy mijaniu z bata jak z pistoletu.

— A dawno w Brazylii?

— Ojcowie siedzą tu od dwudziestu trzech lat.

— Ileż wam?

— Dwadzieścia trzy.

— Toście wy Brazylianie?

— Bogu chwała, nie — i śmieje się głośno, wesoło: — Ja tam nie żaden Brazyloch!

Matka mnie w łonie przywiozła.

\*

Ładna, młoda dziewczyna przyjmuje dość lekko i obojętnie umizgi dwóch chłopców.

— Panna może pójdzie za Brazyliana? — zażartował ktoś.

Odeła usta, zmarszczyła się i z gniewem odpowiedziała:

— Żeń się pan z Brazylianką!... Lepsza mi śmierć.

— Chociażes moja, a wołałbym cię na marach<sup>112</sup>, jak z Brazylochem — przyznaje ojciec.

A tak zwana inteligencja mówi głośno:

— Nic mi nie pozostaje, tylko ożenić się z bogatą Brazylianką.

\*

W szkółkach polskich uczą się dzieci z elementarzy galicyjskich, poznańskich, warszawskich.

Dzieci, które nie widziały nigdy wierzby, brzozy, naszych łąk, wróbli, srok etc., etc., uczą się o nich. Elementarz, zastosowany do stosunków brazylijskich, jest bardzo potrzebny i konieczny. Mała stąd pociecha, że Brazylijczycy w szkołach swoich posiadają obowiązujące czytanki (edycja 26: *Primeiro livro da leitura* i *Segundo livro*, obie nagrodzone), traktujące obszernie o przepiórkach, jeleniach, żniwach, bławatkach etc., książki, zapożyczone od Francuzów i ślepo stosowane w Brazylii.

Szkoła, Książka

\*

Kolonisci i rzemieślnicy w ogóle są zamożni, a w okolicach Kurytyby posiadają drobne kapitały.

— Dlaczego synów nie posyłacie do szkół wyższych?

Zawsze odpowiadają, że w brazylijskich prócz lenistwa niczego się nie uczą, a innych szkół, pożytecznych, rozumieją: praktycznych, nie ma wcale w Paranie.

Kolonisci nie potrzebują ani żądają składek, ofiar, dobrodziejstw macierzystego kraju, w którym tylu, aż tylu jest analfabetów, celem utworzenia szkół w Paranie. Mają z czego zapłacić i zapłacą, ale niech ktoś założy szkołę, nie jako łaskę, jako szczególny objaw poświęcenia, ofiary, lecz jako interes dobry. Niech ta szkoła da chleb wychowañcom, możliwość zarobkowania, niech się przystosuje do warunków tutejszych — a może liczyć na powodzenie pod każdym względem.

\*

W stosunkach handlowych są dalsze kolonie na łasce i niełasce wendystów, u których się zaopatrują drogą handlu zamiennego w ubrania i artykuły spożywcze. Bliżsi, pod Kurytybą, są przeważnie w ręku pośredników: ojca i syna Rosenmannów i Flachsa. Ci trzej Żydzi skupują produkty rolne i dyktują ceny. Tę samą rolę w Rio Negro odgrywa Andrée. Chłopi, podobnie jak u nas, drwią sobie z Żydów i ich brazylijszczyzny, ale z nimi nie zrywają.

Zarządzający sklepem Żydek, udający Brazylijanina, nazywa siebie *caséiro* (portug. rządca), a pies po brazylijsku jest *cachorro*.

— Hej, kaszoro, dawaj mi prędeż, bo czasu nie mam! — woła kolonista.

— Ja nie kaszoro, ale kazejro.

— Co ty mnie będziesz uczył! Kazejro czy kaszoro to wszystko jedno.

— Was zawsze trzymają się żarty — mówi, wręczając towar — a ja przecież kazejro.

— Tak czy siak, Żydem zostaniesz — A wszyscy obecni, śmiejąc się, dogadują.

Czy koloniści mają długi, jest rzeczą wątpliwą; nie mówię o drobnych w sklepie. Dochodzenie długu i egzekucja jest w Brazylii długa, kosztowna i... bądź co bądź „faka rozstrzyga, kto ma recht”. — Zapewne z tego powodu stosunkowo tak mało Żydów tutaj.

Wyzwolenie kolonistów z ekonomicznej zależności od wendystów, ułatwienie im sprzedaży produktów rolnych, puszczenie w obieg gotówki, wytworzenie polskiego domu handlowego jest rzeczą nie tylko potrzebną i pożądaną, lecz konieczną, bo z ekonomicznym rozwojem kraju wzrośnie w stosunku geometrycznym liczba pośredników i może się powtórzyć w Paranie gospodarka galicyjska: bez przemysłu, bez handlu, niewola u drobnych kapitalistów.

\*

Po dość sutym, chociaż przypadkowym przyjęciu u kolonisty, pytam:

— Wy tak wszyscy żyjecie?

— Wszyscy nie wszyscy, no i nie w każdy piątek jest świętek — uśmiecha się, patrząc na mnie jako na gościa.

— A jaki jest zwykły porządek?

— Rano to u każdego kawa (kilo kawy kosztuje mniej więcej 25 do 30 kop.) i chleb z omastą<sup>113</sup>, a nim z południa słonko przygrzeje, to zjemy fiżon, kartofle albo pataty, no i u bogatszych siarkę.

— I znów do roboty?

— Ee, nie; toż okropa, jaki gorąc: legniem chwilę, potem kawa z chlebem, robota, no i kolacja.

— Jaka?

— Fiżon, niebądź kasza i jak czasem mięso.

— Ho, ho, to dobre jedzenie!

— Ii, byłoby dobrze, aby nie gorąc: tutaj słonko wysie z człowieka wszystkie siły; nie podjadłszy, to i zmarniałby człowiek do szczętu.

Jedzenie

\*

— To pan wracają do Polski?

— Wracam.

— A będą pan w Częstochowie?

— Będę.

Wyszła, po krótkiej chwili wróciła.

— Już moje oczy pewno nie obaczą cudownego obrazu... niegodnam tego — mówi prawie ze łzami. — Niechże pan to dadzą na ofiarę — i wyciąga milreisa oszczędzonego.

— Pozwólcie, matko, że już was sam wyręcę i dam.

— Nie może być.

— Toż na milreisach tam się nie znają.

<sup>112</sup>mary — nosze do przenoszenia zmarłego; podwyższenie, na którym stawia się trumnę. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>omasta — tłuszcz dodawany do potraw, np. masło a. smalec, którym smaruje się chleb. [przypis edytorski]

— Prawda... Niechże pan da za mnie, jeśli łaska... i życzę panu dobrego rozstania.  
— ?  
— Z Brazylią... bo tu o choroby i śmierć nietrudno; moich czworo umarło, a co po ludziach, to i nie zliczyć.  
— Dziękuję matko, za życzenie; dokuczyła mi już Brazylia.  
— My tam jej nie hańbujem — odzywa się mąż. — Ziemia dobra, aby ino ludzie i porządek był inny.

\*

Poważny i zamożny kolonista, wspominając czasy swego przybycia do Parany, mówi:  
— Zaś jakośmy zjechali ze Śląska, w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym czwartym, to oni (Brazylijczycy) roli i pluga nie widzieli, żyli w budach bez okien; murowanych ani poświecić<sup>114</sup>; chodziło to, i największy pan, w patynkach, chleba zaś nie znali, tylko placki z mii; kawy nie pijali, tylko swoją herwę. My zaś nauczyliśmy ich, co to rola, co to gospodarka, co cegła, co szyby, co talerze i szklanki; że są na świecie buty i chleb, i kawa. Chociaż ci z lasu zawsze lgną do herwy, a jak ma buty, to już wielki pan — zaśmiał się z ironią.

## *Caboclos*

Po miastach, stacjach kolejowych, częściej na drogach stepowych i leśnych, spotyka się na mułach, rzadziej na koniach, ludzi zaciekawiających swym niezwykłym wyglądem.

Muł biegnie krótkim galopem, strzygąc uszyna, a na nim jeździec, okryty palią w pasy, w kapeluszu wielkim, filcowym, z podniesionym nad czołem rondem, zawsze uzbrojony w długi nóż i pistolety; w rękę bat z surowca<sup>115</sup> z rączką ciężką; siedzi na kulbace przykrytej skórą z włosiem, a w małych strzemionach bose nogi, rzadziej w patynkach, najrzadziej w butach, ale zawsze z ostrogami, czasem tylko z jedną przytwierdzoną rzymkami do bosej nogi. To *caboclo*, obywatel brazylijski, właściciel zwykle znacznej przestrzeni ziemi, potomek rasy mieszanej, europejsko-indyjskiej<sup>116</sup>. Rysy twarzy zazwyczaj ładne, czasem klasyczne; oczy czarne, niespokojne i podejrzliwe; kolor ciała lekko brunatny; smukły, zwinny, trudni się polowaniem, czasem pasterstwem lub zbieraniem *herwa matte*, a wyjątkowo kobiety uprawiają grządkę kukurydzy i patatów.

— Gospodarzu, a nie zaprowadzilibyście mnie do kabokla?

Stary, siwy, spod Tarnowa kolonista spojrział zdziwiony, pokręcił głową:

— I po co panu? Mieszka to w budzie, żyje jak poganin, mówi tylko po brazylijsku, przyjmie to herwę, a posadzi to na ziemi albo kości.

— Jednak...

— Hm... kiedy pan prosi, to cóż robić? Pójdę... ale to kawał, aż pod naszą milią... Matka, daj przyodziewek jaki.

Dowiedziawszy się o co idzie, rzekła:

— Ty, ociec, siedz w domu. Miguelo krzyw<sup>117</sup> na ciebie za muła, coś zajął z mii. Strzelić u takiego nic... pójdę ja z panem.

Idziemy, gospodyni przez grzeczność puszcza mnie przodem. Otóż i mieszkanie kabokla.

— Teraz ja pójdę pierwsza: pana może ustrzelić, a ja znam ich zwyczaje.

Staje dość daleko przed furtką ogrodzenia pierwotnego z poziomo położonych, ściętych drzew, wspartych na wiązadle między drażkami pionowymi, i klaszcze w ręce: jest to sposób anonsowania się przyjęty w całej Brazylii; bez klaskania nikt nie otworzy domu.

Klaszcze powtórnie.

Chata przede mną zbudowana z nieociosanych, łupanych kołków, wbitych w ziemię, przepłatanych w pośrodku jakąś lianą, bez okien, nakryta palmowymi liśćmi.

<sup>114</sup>ani poświecić kogoś a. czegoś — nie napotka się, nie ma ani śladu czegoś lub kogoś. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>surowiec — tu: surowa, niegarbowana skóra. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>indyjski (daw.) — indiański, związany z Indianami. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>krzyw (daw., gw.) — pogniewany, urażony. [przypis edytorski]

Wreszcie uchylają się drzwi, i gospodarz w koszuli i hajdawerach<sup>118</sup> krótkich, brunet z brodą, z pistoletem w ręku, pyta:

— *Quem e?* (kto tam?)

Poznawszy sąsiadkę, mruknął pozwolenie, a ta, nim przeszła furtkę, wytłumaczyła mu cel mego przybycia.

Uśmiechnął się na mój ukłon, schylił głowę, mówiąc łagodnie i z ładnym gestem:

— *Faça favor!* (proszę, dosłownie: zrób pan łaskę).

Kobieta przez drogę informuje mnie szybko, półgłosem:

— Dadzą panu papierosa, pał pan; każą cykać, cykaj pan.

Wchodzę do pierwszego przedziału, skręcając od drzwi na lewo. Światła tyle, co ze szczelin w ścianach, na których wiszą surowce, uździenice i kulbaka, srebrem suto nabijana.

Gospodarz z uśmiechem przyjaznym prosi mnie siedzieć. Stolek jest czaszką krowy, nakrytą jakąś derą pomiędzy rogami; sam, w pół leżąc, usiadł na ziemi, przysłoniętej dziurawą płachtą.

Moja gospodyni poszła w głąb chaty, rodzajem wąskiego korytarzyka pod prawą ścianą. Za nami, za przepierzeniem z kołków w trzech czwartych całej długości chaty, słychać półgłosne kobiece rozmowy i głosiki dzieci.

— *Amancia!* — zawołał gospodarz.

Weszła natychmiast kobieta, już niemłoda, z twarzą pomarszczoną; włosy czarne, ledwie nad czołem przczesane, w kaftaniku brudnym, w kolorowej spódnicy, i nim wychyliła się z narożnika przepierzenia, spytała chrapliwie:

— *Que?*

Skłoniłem się pani domu, otrzymawszy nawzajem skinienie głową.

— *Charutos...*

I tuż weszła, skręciła papierosa w liść kukurydziany, zapaliła i podała mi z ukłonem, a drugi mężowi.

Gościnnie gospodarz rozmawia ze mną o koniach, siodłach, mułach i polowaniu.

Moją prośbę, aby pozwolił się odfotografować, przyjął chętnie. Poszedł w głąb, po chwili wrócił, a tuż za nim żona, niosąc w ręku dość wielką tykwę, zwaną *cuia*, w której zaparza się herwę, i jedną rurkę z trzciny, opatrzoną sitkiem tzw. *bomba*, którą pije się matkę.

Usiadła na drugiej czaszce, pociągnęła napoju i podała mi z uśmiechem zachęającym. Cykałem, jak mi radziła gospodyni, i z ukłonem podałem gospodarzowi, który to wdzięcznie przyjął. Już trzy razy obeszła *cuia*. Z utęsknieniem czekałem uwolnienia. Spozrzegł gospodarz moją niecierpliwość:

— Zaraz wyjdą *senhoras* (panie); muszą się ubrać.

Wyjaśniłem, że jego wpierw mogę sfotografować.

Poszedł się przebrać w odświętne szaty, w kapeluszu, z faką, nawet w patynkach. Już mam fotografować... zapomniał pistoletów... Po chwili przypomniał sobie, że nie trzyma surowca... Nareszcie skończyłem.

Wyszły *senhoras*, ubrane we względnie czyste spódnice; jedna z małym dzieckiem na ręku, przystojna, z ostrym, gniewliwym wyrazem twarzy; druga, ładna brunetka, młoda dziewczyna, trzecia sama pani i czworo dzieci.

Pozwolono mi zwiedzić cały dom. Przepierzenie tworzy małą, wewnętrzną izbę zasuwaną, w niej skóry stanowiące łóżka; druga część, tej samej wielkości co i pierwszy przedział, jest kuchnią, z ogniskiem otoczonym kamieniami, nad nim kociołek, na półkach tykwy przepołowione — to talerze; łyżek nie spostrzegłem.

Wyszliśmy.

— Żona jego wcale nie młoda.

— One, panie, wszystkie takie: aby urodziła trzy, cztery bachory — już po niej, bo to nijakiej wygody ani statku<sup>119</sup>.

— A tamte?

Kobieta, Mężczyzna

<sup>118</sup>*hajdawery* (daw.) — obszerne spodnie. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*statek* (daw.) — mienie, dostatek. [przypis edytorski]

Moja przewodniczka spojrzała mi w oczy, ścisnęła ramionami, a poprawiając na głowie kraciastą chustkę, rzekła:

— Taki poganin, czy on ta wie, co córka, co siostra, co obca; żyją z sobą jak psy, — kończyła oburzona.

Byłem później u kilku innych kabokłów: to samo ubóstwo, brak śladu kultury, naszej etyki, uspołecznienia...

— Czy kradną?

— Co z chaty, to nic nie ukradnie — odpowiedziała z uznaniem. — Ale co na polu, to podzieli się sprawiedliwie.

## INDIANIE

Jadąc konno do jednej z kolonii, spostrzegłem z daleka grupę półnagich ludzi, którzy za naszym zbliżeniem szybko ukryli się w lesie.

— Co to za jedni?

— Indianie. — A widząc moje zdziwienie, dodał przewodnik: — „Oswojeni”, pewno idą do miasta.

W południowej Brazylii przebywa przeważnie szczep indyjski Tapuyów, tj. obcych, wrogów, który się dzieli na dzikich Botokudów, zwanych tak od ozdoby drewnianej (portug. *botoque*), noszonej w przedziurawionej niższej wardze, i na Corroados, spokojniejszych, którzy wspólnie z plemionami Guarany i Cayguas żyją w osadach.

Botokudów nie widziałem wcale; podobno, jak mi mówili koloniści w Lucenie, których kilkakrotnie napadali ci dzicy, mieszkają oni w głębi lasów i mają obozowisko pod górą Tajol, którą mi wskazywano. Do tej góry nikt jednak nie dotarł, a jedynej Botokudki, która schwytana dzieckiem<sup>120</sup>, służy obecnie w Rio Negro, ładnej dziewczyny, nie zdołałem nakłonić do odfotografowania.

Widziałem później w Kurytybie Indian Corroados, tych niegdyś panów i dziedziców Brazylii południowej.

Wzrostu średniego, włosy sztywne, czarne; rysy twarzy normalne, prócz zbyt szerokich nozdrzy; kolor ciała jasnobrązowy; wzrok pokorny, niespokojny; przesyleni zapachem tytoniowym, nacierają bowiem całe ciało sokiem tytoniu, by uchronić się od owadów. Ubrani niedostatecznie, kobiety tylko w koszulach, nie bardzo wstydlive; mężczyźni albo w rodzaju płacht, albo w uproszonych, starych ubraniach europejskich.

Mężczyźni pysznili się na ulicy zardzewiałymi kapiszonówkami<sup>121</sup>, pojedynkami<sup>122</sup>; nie mieli na sobie żadnych ozdób, tatuowań. Kobiety, wiecznie uśmiechnięte, nosiły na szyi nanizane na nitkę czarną błyszczące ziarenka.

U siebie w osadzie, jak mi opowiadał mieszkaniec kolonii wojskowej Jatahy, chodzą nago, trudnią się rybołówstwem, polowaniem, uprawą tytoniu i wyjątkowo kukurydzy. Są gościnni i spokojni. Małżeństw trwałych nie zawierają; pozornie, ale bardzo pozornie należą do chrześcijan.

Ci, których widziałem w Kurytybie, znali jeden wyraz: *reis*, i wyciągali rękę po jałmużnę.

A niegdyś! Tapuyowie, do których należą i bitni Aymorowie, byli przed czterystu laty postrachem innych szczepów indyjskich i Europejczyków, którzy aż do czasów ostatniej konstytucji ogłosili byli Botokudów *proscrito*, tj. będących poza prawem, a nawet wytworzyli odrębny rodzaj zajęcia: myśliwców<sup>123</sup> na Indian.

Dziś jeszcze ani Brazylijczyk, ani kabokło nie odważa się osiedlać w bliskości Botokudów, bo zawsze w grę wchodzi głowa. Jedyne chłop polski za ziemię nie pożałuje krwi, mienia, trudu... Napadają go, zabijają, jak w Mohemi, kolonii polskiej, ale on trzyma ziemię.

<sup>120</sup>*schwytana dzieckiem* (daw.) — schwytana, kiedy była dzieckiem. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>*kapiszonówka* (daw. pot.) — strzelba kapiszonowa: długa broń palna z zamkiem kapiszonowym, w której odpalenie następuje przy użyciu kapiszona, miedzianej miseczki zawierającej piorunian rtęci; wynaleziona w 1818, wyparła broń skalkową, również ładowaną od strony wylotu lufy, po czym w drugiej połowie XIX w. została z kolei wyparta przez broń odtłocową na naboje zespolone. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*pojedynka* — strzelba o jednej lufie. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*myśliwiec* (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

## KOLONIZACJA POLSKA

Ogólne wrażenie, jakie się wynosi po bliższym poznaniu życia kolonistów polskich, jest dodatnie. Chłop nasz, zahukany, pokorny, często głodem przymierający w kraju, tu, w Paranie, nabiera sił fizycznych i poczucia godności własnej, jest wybornym materiałem cywilizacyjnym, a wśród tego otoczenia wpływowym czynnikiem kulturalnym.

Z emigracją jako jednym z objawów życia społecznego każdy liczyć się musi; przeludnienie i coraz trudniejsze warunki bytu, pomijając inne przyczyny, wywołują w normalnym odpływie ludności z kraju bądź nagle wybuchy, zwane gorączką emigracyjną, bądź też pozorny zastój.

W naszej literaturze posiadamy, o ile wiem, jedną tylko pracę źródłową i bezstronną w sprawie emigracji; jest nią książka Romana Dmowskiego *Wychodztwo i osadnictwo*, w której autor, opierając się na wymownych cyfrach statystycznych i analogiach z ościennymi państwami europejskimi, poddaje wszechstronnej krytyce zjawisko emigracyjne. Pan R. Dmowski, uzasadniając statystycznie i logicznie swój pogląd, twierdzi, że przeważna<sup>124</sup> część ludności polskiej, szukającej dziś zarobku w Niemczech, z chwilą gdy niezwykły i prawie anormalny wzrost przemysłu niemieckiego ulegnie zwyczajnej w takich razach obniżce, musi się zwrócić do emigracji zamorskiej, kraj bowiem macierzysty nie zaspokoi ich potrzeb życia.

Podzielając ten pogląd R. Dmowskiego, należy się przygotować na objawy znaczniejszej emigracji, liczyć się z tym faktem i ile można oddziaływać na kierunek drogi i wybór miejsca.

Parana i w ogóle południowa Brazylia, za swym bardzo luźnie zorganizowanym społeczeństwem, bez kultury i cywilizacji własnej, zatem słaba pod względem asymilacyjnym, posiada w stosunku do innych krajów dość korzystne warunki narodowościowe i klimatyczne dla naszych emigrantów. Ameryka Północna i Australia ze swą dominującą cywilizacją anglosaską już w drugiej lub trzeciej generacji wynarodowi naszego chłopca; to samo da się powiedzieć o innych krajach, w których bądź silny rząd, bądź też wyższość cywilizacyjna łatwo zniesie różnice narodowościowe.

Wielką usługę mógłby oddać sprawie wychodźstwa przewodnik popularny dla ludu, który by jednak był szczery i prawdziwy w szczegółach, daleki od bałamuctwa i kłamliwego rajy brazylijskiego. Uznając bowiem emigrację przy pewnym stopniu rozwoju życia społeczno-ekonomicznego za zjawisko społeczne, jest obowiązkiem prostej uczciwości wskazanie ludziom bezwiednym i idącym na oślep drogi prawdziwej, ze szczerym odsłonięciem trudności, pracy, kosztów, łatwości wyzysku ich przez ludzi złej wiary itd.

Taki przewodnik, którego zasadą będzie bezwzględna prawda, może powstrzymać lekomyślnych od wyjazdu, a dla zdecydowanych będzie nieocenioną wskazówką.

Prócz przewodnika drukowanego jest, moim zdaniem, rzeczą bardzo potrzebną osadzenie w Bremie, w Rio de Janeiro i w Kurytybie sumiennych, chociażby płatnych doradców i opiekunów, którzy by nie dopuszczali wyzysku emigrantów, niestety, zbyt częstego, jak się sam naocznie przekonałem.

I naprawdę, szkoda naszego ludu, by marniał i ginął już nie co dziesiąty, ale co czwarty lub trzeci na obczyźnie, wabiony marą łatwego nabycia ziemi i dojścia do dobrobytu. Jeśli już emigracja jest rzeczą konieczną i niedającą się powstrzymać, obowiązkiem naszym jest otoczyć tych biednych opieką przynajmniej moralną i nie wydawać ich na łup spekulantom pracy i krwi.

Ta Parana — to okienko, przez które możemy spojrzeć w przyszłość naszego chłopca, jakim będzie i jakim mógłby już być. Trzeba widzieć ten wściekły temperament w pracy, w zabawie, w hulatyce, tę przytomność umysłu w niebezpieczeństwie, umiejętność radzenia sobie w ciężkich przejściach, szaloną wytrwałość i inteligencję, by nabrać zaufania do jasnej przyszłości i boleć nad stratą każdej jednostki.

Jesteśmy krajem stosunkowo przeludnionym, bo gdy na kilometr kwadratowy liczą Prusy wschodnie 55 mieszkańców, Królestwo ma 75, a Galicja 90. Brak przemysłu, wielka podaż rąk roboczych, trudność zarobku powodują głód i nędzę, a to są źli doradcy w życiu i skłaniają biedaków do bezwzględnej wiary w każdy promyk nadziei poprawienia

<sup>124</sup>przeważny (daw.) — przeważający. [przypis edytorski]

losu, choćby za dziesiątymi górami i morzami, bez względu na oczekujące ich cierpienia, choroby, głód, a bardzo często śmierć.

Trzeba posłuchać kolonistów z Rio Claro i Prudentopolis, jaką okropną nędzę przeszli... Gotowali jagody nieznanne, chorowali na biegunkę krwawą, ratunku nie było, umierali... Zasłyszeli o palmitach, więc jedli gotowany miąższ palm, pochorowali się i umierali; kradli bydło kabokłom, uciekali w lasy, by ginąć z głodu i rozpacz. Po prostu mrowie przechodzi na myśl, jak, ile i co przecierpieli ci emigranci.

Z tego bynajmniej nie wynika, że jestem przeciwnikiem każdej działalności w kierunku emigracji i emigrantów. Powtarzam, że z tego, co widziałem i doświadczyłem, uważam Paragę za kraj odpowiedni dla naszej emigracji, że roztoczenie opieki moralnej i materialnej nad emigrantami tak w drodze, jak i na miejscu, jest rzeczą konieczną i potrzebną, że wreszcie 45 000 Polaków za morzem, i w dodatku tak dzielnych i energicznych, stanowi dla nas poważny zawiązek i nie wolno nam o nich zapominać.

Każdy naród posiada swe ideały życia praktycznego i dąży wytrwale w tym kierunku. Dla Niemca wystarcza mieć handelek, pewny dochód, kufel piwa i spokój; dla Francuza — zostać kapitalistą, mieć domek i ogródek; a nasz chłop, skoro poczuje byt zapewniony, chce mieć syna... panem, ze smakiem, manierami, nawyknięciami pana szlachcica.

Nie inni są i nasi koloniści, a jeśli idzie o utrzymanie ich narodowości, to jest rzeczą konieczną dać tym kolonistom wzory, noszące wysoko sztandar naszej cywilizacji i naszej narodowości; w przeciwnym razie ich synowie będą się musieli z konieczności dociągać do „panów” brazylijskich, zarzucą swój język i utoną w brazylijszczyźnie.

Ale na to nie trzeba wspaniałych delegatów ani komiwojażerów z próbkami towarów, ani twórców partii socjalistycznej w Paranie, gdzie każdy znając stosunki, przy pracy posiadzie ziemię i niezależność; nie trzeba znakomitych agitatorów, nie potrzeba protekcji ministrów, łaski Brazylijczyków, sążnistych biletów wizytowych — tylko ludzi czynu i pracy. W Paranie, mówiąc z chłopska, choćbyś ręce po łokcie urobił, jeszcze bardzo dużo się znajdzie: tu roboty nie przerobisz.

Dość przejść się po składach większych domów handlowych: od igły do kapelusza, od papieru do perkalu, wszystko z Europy sprowadzane. Szkół nie ma, gospodarstwo idzie po omacku, handel jeszcze zamienny; oprócz kilku gorzelń, browarów i jedynej fabryki zapalek — pustki; przy wielkich pastwiskach brak mięsa i nabiału; gdzie spojrzeć, czego tknąć... wszędy brak.

Tylu ludziom, dzielnym, inteligentnym, jest za ciasno w kraju, niedobrowolnie czy dobrowolnie — wszystko jedno, a w Paranie obszerne pole do pracy we wszelkich możliwych kierunkach, ekonomicznych i intelektualnych.

Ludność, bez napływu, a ten jest nieustanny, podwoi się w ciągu 20 lat, bo dziesięcioro i więcej dzieci to zwykła cyfra, a ludność zamożna, lgnąca do cywilizacji i kultury... i komu tu naprawdę za ciasno, ten może i tam w obranym kierunku pracować.

Ale w Paranie potrzeba ludzi, aby czynem, nie słowem, pokazali kolonistom, że nasza polska cywilizacja jest istotnie piękna, dobra i czyni człowieka poważanym i cenionym.

Dziś koloniści, podobnie jak lud na Śląsku, w każdym surdutowcu, w każdym bogatym, wykwinłym widzą cudzoziemca; i to powinno się zmienić.

Chłop, Emigrant, Pozycja społeczna



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gruszecki-w-kraju-palm-i-slonca>

Tekst opracowany na podstawie: Artur Gruszecki, *W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży*, Nakładem Księgarni Wydawniczej J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Angelika Kuch, Maria Świątlik, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6348-4

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.